

W numerze: Żabką czałem i po plesku • Śmierć Brutusa • Jestem prorokiem • W pracowni Tadeusza Piotrowicza • Notatki z Moskwy • Przerażenie • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosy



Nr 31 (347)
VIII 1963
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII



FELIKS BĄBOL

CO ZAGRA ZA? MIASTU

Nie zagrażają już naszemu miastu szczury, z którymi rozprawiono się zaraz po wojnie, nie zagraża już miastu epidemia tyfusu, stała plaga ilustrująca przedwojenną historię Łodzi, nie są groźne typowe dla kapitalistycznego okresu rozwoju miast epidemie chorób powstałych z brudu i zaniedbań w komunalnej gospodarce wielkich skupisk miejskich. Powojenna epoka antybiotyków, masowych szczepień, zwrot w polityce objawiający się w systematycznej poprawie stanu sanitarnego naszych ulic, podwórek i mieszkań — wszystko to sprawiło, że wśród plag trapiących ludność wielkich miast wymieniamy już tylko nieliczne. I w Łodzi również — właśnie dzięki postępowi w gospodarce komunalnej i w działaniu służb sanitarnych i zdrowia — mamy więc już tylko do czynienia z typowymi udrękami naszego czasu, dotkliwymi zarówno w naszym kraju, jak i w innych krajach na świecie, niezależnie od ustroju i szerokości geograficznej.

Fachowcy z łódzkiej służby sanitarnej, czyli z tzw. Sanepidu, zaczynają co prawda charakterystykę miasta od spraw wody i kanalizacji, twierdząc, że niebezpieczeństwo dla miasta płynie również z nierówności, z jaką rozbudowujemy sieć wodną w stosunku do sieci kanaliów, są to jednak przecież marginesy batalii toczącej się w naszym mieście. Swoje racje uzasadniają tym, że dla całości organizmu miejskiego nie jest dobrze, jeśli pewne dzielnice (np. Śródmieście) już w 91 proc. korzystają z wody i w 90 proc. — z kanalizacji, podczas gdy sąsiednie (np. Górna) zaledwie w 13 proc. (woda) i 12 proc. (kanalizacja).

Nie dobrze też — mówią — jeśli na Polesiu ze zdrowej, miejskiej wody korzysta już 40 proc. mieszkańców, a z kanalizacji jedynie 30 proc. Nie wchodzi oczywiście przy tym w grę dotychczasowy temat przyczyn tego wyprzedzania kanalizacji przez wodociągi (szybkie tempo budownictwa osiedlowego, wysokie koszty budowy kanałów itp.), stwierdzają jedno: lokatorzy domów, w których jest już woda, powinni korzy-

Dalszy ciąg na str. 4

LESZEK ST. RUDNICKI

OPOWIEŚĆ O CHYTREJ RZECIE

Mówią o sobie nie bez odrobiny zaczepnej dumy — My, z Odry! Dawniej, dziadów ich i pradziadów nazywali rozmaicie: flisami, orylami. Niemcy znaleźli jeszcze inne nazwy: Wasserpolen, albo Poitun, a to dla odróżnienia od mieszkańców Rzeczypospolitej i nie bez ujemnego zabarwienia. Dziś nie ma już jakiegokolwiek specjalnego nazwy, czy całej terminologii. Wymierają stare generacje, giną odwieczne tradycje wodników z dziada pradziada, choć została ich jeszcze garstka niemała. Na opuszczone przez nich miejsce przychodzi już jednak młodzież z różnych stron. Tacy, co zawędrowali tu przypadkiem w poszukiwaniu miejsca dla siebie. Przyszli i tacy co szukali lekkiego i słodkiego chleba. Rozczarowali się,

praca wcale nie była lekka, a korzyści materialne też niespecjalne. Krezusów w Zegludze nie ma. Ale była jest i pozostanie na zawsze legenda o starym flisackim rzemiośle. Przyciąga serca i zostają. Czasami nawet wbrew sobie. Wbrew planom, zamiarom i marzeniom. Mówią — „Odra jest chciwa. Czyje serce polknie, to już go nie odda”. Ale to ci starsi, co tu już niejedną dziesiątkę lat spędzili na szlaku. Młodzież, jak to młodzież. Chciwi są życia i nie bardzo mają czas na ekliwe rozpamiętywanie, czy filozofię. „Harowałeś przez cały dzień? Twoje prawo ancug i biała koszula założyć i na łód. Z koleżkami pogadać, piwko wypić, a i z babami pogłować nie zawadzi. Skarżę się czasem na te obyczaje stare wygi, ale też i nie wymawiają. „Młodość

panie, to i wyszumieć się musi. Przyszli chłopcy z różnych stron, spod Krakowa, Łodzi, Poznania, daleko od domu, między obcych, to co mają robić? Niech figlują, z czasem im przejdzie”. Zmieniają się czasy i ludzie. Miejsce starych pychów i pociągów łab zajmują szybkie i ładowe barki motorowe. Zabiera to 400 ton ładunku jak obczył, a jeszcze masz kajuty dla załogi duże i wygodne, nawet łazienka i ubikacja jak przystało. Gdzie to porównać ze starymi trupami, słów szkoda. A mają podobno jeszcze większe robić. Takie jak to Niemcy mają, co i po 600 ton zabiorą. Tylko jak sobie z nimi poradzą? Odra trzeba przyznać uregulowana, nie jak Wisła, gdzie mielizny pod nosem rosną, i tu jednak jak wody nie staje,

to te co są nie dają rady, co dopiero takie smoki. Ale to kiedyś, zobacz się jeszcze. Może do tego czasu pobiudują takie zbiorniki, że i okrąży rok można będzie pływać? — Robota? Jak wszędzie, nielekka. Tyle, że na świeżym powietrzu i nie kurzy się. Nowe strony, nowi ludzie. Bo trzeba panu wiedzieć, że my to nie tylko po Odrze. A jakże! Pływa się i do Belgii, Holandii, Berlina, Antwerpii. Ot, my na przykład wracamy z Belgii. W drodze półtora miesiąca, ale co się człowiek napatrzył, to jego. Tylko, że okni się za swoimi.

Dalszy ciąg na str. 4



Po długich naradach w Białym Domu - prezydent Johnson dokonał nowego kroku w kierunku zastrzeżenia konfliktu wietnamskiego. Zawile wyrażając, dlaczego konieczna jest obecność wojsk amerykańskich na Półwyspie Indochińskim i dlaczego USA muszą wywiązać się ze swych obietnic i uroczystych zobowiązań - oświadczył, że skierował do Wietnamu dalsze oddziały, które podniosły liczebność wojsk bojowych do 125 tys. Zapowiedział także podwojenie miesięcznego poboru rekrutów.

Skutków rozszerzenia wojny wietnamskiej nie trzeba czytelnikom wyjaśniać. Zwroćmy jednak uwagę na jeden moment - postępujące „odwiot namizowanie” konfliktu - zmniejszanie aktywnego udziału znużonych wojną południowych Wietnamczyków i powiększanie wkładu amerykańskiego. Czy nie zmienia to charakteru konfliktu?

Jak zareagowali na nowe posunięcia Johnsona sojusznicy Stanów Zjednoczonych i opinia wewnętrzna? Posłużmy się w odpowiedzi dwoma cytata. Znanymi Czytelnikom Walter Lippman pisze:

„Z wyjątkiem armii południowowietnamskiej, która jest w stanie dezintegracji, mamy tylko słowne poparcie kilku krajów azjatyckich. Nie dotyczy to żadnego z większych krajów azjatyckich, z których żaden - z Japonią i Indiami włącznie - nie jest z nami. Również żaden z naszych europejskich sojuszników nie posunął się poza słowne poparcie”.

I drugi cytat. Waszyngtoński korespondent „Combat” przypominając, że ostatnie decyzje uderzają wprost w przeciętnego Amerykanina (licniejszy pobór rekrutów, podniesienie podatków) stwierdza:

„Amerykanin uświadomiony w swych uczuciach i uderzony po kieszeni może zareagować, zwłaszcza, jeśli wiadomości (z Wietnamu) będą nadal równie złe”.

Cóż do tego dodać. Chyba tylko to, że nawet rząd największego mocarstwa nie może na dłuższą metę ignorować opinii i musi mieć przyjaciół... Tymczasem Johnson dostarczał aż nadto dowodów, jak rozbieżne mogą być słowa i czyny, co oczywiście przyjaćiel nie zjednuje. Z pozorowanej w pierwszym okresie prezydentury kontynuacji polityki Kennedy'ego dawno już opadły szaty.

W takiej to atmosferze - nasilania agresji w Wietnamie - toczą się wznowione po 10 miesiącach obrady „Komitetu 17” w Genewie. Nie przeto dziwnego, że w ciągu pierwszego tygodnia dyskusji uczestnicy konferencji właściwie nie rozpoczęli badania tej miary problemów, co: powszechne i całkowite rozbrojenie, nierozpraszanie broni nuklearnej, czy też rozszerzenie układu moskiewskiego na doświadczenia podziemne. Te zagadnienia schodzą jakby na plan drugi, a nad debatami dominuje konflikt wietnamski, sprawa wycofania wojsk obcych i likwidacji baz. Nie przekreśla to jednak szans ge-

nowskich rozmów. Jak słusznie bowiem powiedział przedstawiciel ZSRR - Czapkin: w chwilach najbardziej niepokojących należy dokonywać największych wysiłków. Czy zdobędzie się na nie „Komitet 17” - zobaczymy.

W ub. tygodniu część komentarza poświęciłem rezygnacji Home ze stanowiska przewodniczącego brytyjskiej partii konserwatywnej i przewidywaniom co do jego następcy. Dziś chciałbym na chwilę do tego powrócić.

Prognozy nasze sprawdziły się. Nowym liderem partii został przedstawiciel raczej młodej generacji konserwatystów - Edward Heath. Nie uziłskł on uprawianie wymaganej 15-procentowej przewagi nad swym najważniejszym konkurentem - Maudlingiem, lecz ten ostatni w imię jednolitości partii wycofał swą kandydaturę.

Kim jest Heath? Jego kariera polityczna nie jest długa, jednak w czasie uczestniczenia w życiu publicznym dał się poznać jako człowiek dynamiczny, o dużej zręczności politycznej. Komentatorzy zachodni podkreślają ponadto, że nie jest on obciążony przynależnością do „zakłętą kół” arystokracji i wielkich posiadaczy oraz że niejednokrotnie dawał do zrozumienia, iż jest zwolennikiem unowocześnienia partii w myśl żądań i potrzeb kół burżuazyjno-mieszczańskich.

Heath na swojej pierwszej konferencji prasowej zapowiedział przegotowanie partii do ewentualnych wyborów („skoro tylko premier będzie gotów pozwolić na decyzję narodową, ale podejrzewam, że chce on utrzymać się tak długo, jak tylko to będzie możliwe”) i reorganizację „gabinetu cieni”. Ostro wystąpił też przeciwko polityce gospodarczej rządu Wilsona.

Nowy przywódca konserwatystów - takie jest powszechne zdanie - może być pewną przeciwwagą dla Wilsona i jego poważnym przeciwnikiem w przyszłych wyborach. Z tego też głównie powodu zmiana w kierownictwie torysów wzbudziła duże zainteresowanie w świecie politycznym.

Skoro już o wyborach mowa... W najbliższych tygodniach w Niemieckiej Republice Federalnej rozpocznie się kampania wyborcza. Cztery partie na szczębiele federalnym (CDU, CSU, SPD i FDP) ubiegają się o głosy wyborców. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie to, że zanoszą się na najostrejsze w historii Niemiec zachodnich starcia wyborcze. Po raz pierwszy bójka wyrównały się lub co najmniej zbliżyły szanse partii Erharda i Brandta. Nikt więc dziś z całą pewnością nie może twierdzić, iż wynik jest przesądzony.

Korespondenci z Niemiec zachodnich sygnalizują niezwykle duże ożywienie polityczne i staranne przygotowanie do wyborów. Wiadomo np., że Erhard odbędzie 13 podróży wyborczych po kraju, że do kampanii wciągnięty zostanie również zramolaty Adenauer.

Pisalem już kiedyś na tym miejscu, że SPD przejawia pewne tendencje do „odmłodzenia” polityki NRF. W tej sytuacji bacznie obserwujemy rozwój kampanii może być pouczające. Tym bardziej, że od poprzednich wyborów uległa zmianie pozycja NRF w bloku atlantyckim, a jej sojusze - pewnym przeobrażeniem.

W. SŁAWSKI

TKRONIKA TYGODNIA

NIEDZIELA
25 lipca

● Podczas rozprawy sądowej przed Sądem Najwyższym stanu Nowy Jork, przed którym postawieni zostali dwaj emigranci kubańscy - sorawcy ostrzelania gmachu ONZ, ujawniono, iż amerykańska agencja wywiadowcza CIA w prowadzonej przez siebie akcji antykubańskiej stosuje między innymi fałszowanie kubańskiego pisma, które przemycane następnie na Kubę. Przewodniczący składu sędziowskiego zaapelował po ujawnieniu tego faktu do obecnych na rozprawie dziennikarzy, aby w „imie interesu narodowego” nie pisa- li o tym w gazetach.

● Dzienniki pekińskie zamieściły na czolowych miejscach informacje o przyjęciu przez przewodniczącego KP Chin Mao Tse-tunga byłego p.o. prezydenta rządu kuomintangowskiego Li Tsung-jena i jego małżonkę oraz wypowiedź przewodniczącego KP Chin, że „w porównaniu z przeszłością kraj jest silniejszy, ale nie jest jeszcze bardzo silny. Aby go uczynić prawdziwie silnym i potężnym trzeba mieć co najmniej 20 lub 30 lat na budowę”.

PONIEDZIAŁEK
26 lipca

● Kogo wymienilibyście jako „Afrykańczyka 65”, którego polityka, pisarza lub sportowca mającego największe zasługi dla kontynentu afrykańskiego? - tak brzmiało jedno z pytań ankiety rozpisanej przez tygodnik „Jeune Afrique” wśród czytelników kontynentu afrykańskiego. Pierwsze miejsce uzyskał sportowiec etiopski, zwycięzca w olimpiadzie tokijskiej, Abebe Bikila, drugie Burgiba - prezydent Tunezji, następnie Ben Bella, Gamoudi (sportowiec tunezyjski), Nasser, Nkrumah.

● Założyciel i szef profszystowskiej organizacji w Stanach Zjednoczonych „John Birch Society”, Robert Welch, oświadczył, iż jego organizacja liczy od 60 do 100 tysięcy członków, a ilość ich „wzrasta obecnie szybko”.

● Samoloty amerykańskie dokonały nalotu na dwie przemożne wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych w Wietnamie północnym. W depeszy z Londynu agencja AFP donosi, że amerykański atak na wyrzutnie rakietowe wywołał żywe

zaniepokojenie w politycznych kołach brytyjskich. „W kołach tych - pisze agencja - wskazuje się na poważne konsekwencje, jakie może pociągnąć za sobą ten ostatni krok w stopniowaniu wojny wietnamskiej”.

WTOREK
27 lipca

● UPI: „Wydaje się, że niemal z dnia na dzień Stany Zjednoczone przechodzą w Azji do wojny lądowej w jeszcze jednym stylu koreańskim... Dziś mówi się, że przewidywana liczebność wojsk amerykańskich zaangażowanych w Wietnamie wyniesie co najmniej 200 tysięcy, a może 400 tysięcy do końca roku. A końca wcale jeszcze nie widać”.

● Jedną z firm amerykańskich zerwała zawarty w grudniu ubiegłego roku kontrakt z Rumunią na budowę fabryki syntetycznego kauczuku. Senator J. W. Fulbright oświadczył w związku z tym, że inwestycja w Wietnamie przysłużyłaby się politycznej organizacji skraj-

CZWARTEK
29 lipca

● Administracja waszyngtońska podejmuje kolejne wysiłki w celu uzyskania od Wielkiej Brytanii i innych europejskich sojuszników przynajmniej symbolicznego poparcia dla amerykańskiej akcji militarnej w Wietnamie. Według istniejących informacji inicjatywy te nie dały dotychczas pozytywnych rezultatów.

Oportuniści to ludzie narkujący. Z dołu w górę.
JO HERBST - aktor

● W Algierze podpisano nowy francusko-algierski układ naftowy. Prawicowa prasa francuska komentuje ten fakt w minorowym tonie. AURORE: nie ma żadnych powodów do radości. COMBAT: płacić będziemy prawie dwukrotnie więcej za naftę saharjską niż naftę bliskowschodnią.

Powodem tych narzeków jest między innymi fakt, iż na mocy układu Algieria będzie otrzymywała 75 proc. wartości wydobywanej ropy.

Niektórzy politycy są jak rakiety: odpadają, gdy tylko wypełnią swe zadanie.
JEAN MARSAC - aktor



nej prawicy o uprawiania „złośliwej i nieodpowiedzialnej działalności”.

Przemówienie, jak przystość miłośna, zaczął potrafił każdy duren. Ale, by wybrać właściwy moment na zakończenie, o! do tego już trzeba inteligencji.
LORD MANCROFT, polityk

PIĄTEK
30 lipca

● Przewodniczący senackiej komisji handlowej Warren Magnuson zamierza udać się do Pekinu celem zbadania możliwości nawiązania stosunków handlowych pomiędzy USA a ChRL. Rzecznik senatora, który podał tę informację, stwierdził ponadto, że prezydent Johnson i minister handlu John Connor popierają ten plan.

● Instytut ekonomiczny zachodniemieckich związków zawodowych opracował analizę porównującą obecny poziom oświaty w NRF i NRD, z której wynika, że dzięki wprowadzeniu w NRD powszechnego szkolnictwa 10-klasowego NRD wyprzedziła NRF. Obecnie według danych wspomnianego instytutu w NRD w stosunku do liczby mieszkańców prawie cztery razy więcej uczniów niż w NRF kończy przynajmniej szkołę 10-klasową. W NRD jest także przeszło cztery razy więcej absolwentów szkół zawodowych i 50 proc. więcej studentów szkół wyższych różnych typów.

SOBOTA
31 lipca

● W bieżącym roku, podobnie jak w poprzednim, nie zostanie wykonany plan rekrutacji młodzieży do czechosłowackiego rolnictwa. Przedsiębiorstwa rolne podpisały dotychczas umowy z 17 tysiącami absolwentów szkół 9-letnich, co stanowi 62 proc. zaplanowanej liczby.

● Agencja zachodnie donoszą z Saigonu o rosnących trudnościach władz reżimowych z poborem do armii saigonskiej. „Wymigiwanie się od służby wojskowej” - pisze Reuter - nabrało obecnie charakteru jawnej rebelii. Obecnie doszło do masowej ucieczki poborowych ze stalku wiozącego ponad trzysetu młodych ludzi do szkół obozu wojskowego. Około 50 poborowych wyskoczyło z pokładu do wody.

POLONICA

LIDIA KORSAKÓWNA
W ZSRR

Coraz bardziej zacieśnia się współpraca pomiędzy polską i radziecką kinematografią. W ostatnich miesiącach obserwujemy wzmożoną wymianę filmów oraz częstsze kontakty jakie nawiązują między sobą poszczególne wytwórnie filmowe. „Sowietский ekran” periodycznie zamieszcza in-

M. DĄBROWSKA
UCZCZONA PRZEZ
TEL-AVIV

Smierć naszej największej współczesnej powieściopisarki, szerokim echem odbiła się w całym świecie. Szczególnie tam, gdzie język polski znalazł możliwości rozwoju, ta śmierć wywołała smutek i przygnębienie. Gazeta „Walka”, wychodząca w Tel-Awivie, w

CANALETTO W WIEDNIU

Staraniem muzeów Drezna, Warszawy i Wiednia odbywa się obecnie w Wiedniu wystawa płócien Canaletta. Po uprzednich ekspozycjach w Dreźnie i Warszawie, obecna prezentacja zgromadziła największą ilość pozycji tego znakomitego artysty.

Canaletto, który prze-

O STOSUNKACH NIEMIECKO-POLSKICH

W wydawanym w Düsseldorfie tygodniku zachodniemieckim „Deutsche Volkszeitung” (18 lipca br.) ukazał się obszerny artykuł Franza Plauta pt. „Jak daleko sięga miłość ojczyzny?”. poświęcony rozważaniom na temat stosunków niemiecko-pol-

formacje dotyczące naszych osłabień X Muzy i zamieszcza zdjęcia popularnych aktorów. W nr 11 z br. na okładce w. w. tygodnik zamieścił zdjęcie Lidii Korsakówny, opatrzone bardzo pochlebnym komentarzem: „Lidia Korsakówna - jest jedną z najbardziej popu-

swolm nr 8 z czerwca br. przynosi obszerny artykuł p. Wacława Sadowskiego, poświęcony życiu i twórczości Marii Dąbrowskiej. Oto co pisze autor: „Pulsująca twórcza Maria Dąbrowska - choć autorka nie była pisarką rewolucyjną - ma wielką wagę, wiele znaczy dla współ-

bywał w Warszawie od 1787 aż do czasu swej śmierci w r. 1789 jako malarz nadworny ostatniego króla polskiego, pozostawił dwadzieścia cztery płótna, poświęcone historii Polski. Bogaty katalog wydany z okazji obecnej wystawy wiedeńskiej, zawiera wiele interesujących materia-

skich. Z artykułu tego, odznaczającego się obiektywizmem i rzetelnością, cytujemy poniższy fragment: „Przy charakterystycznych udołnieniach Polaków, z ich francuskim dowcipem i austriackim wielkolepiem, musi stać się możliwe zlikwidowanie

POLONICA

larnych aktorów polskiego filmu i telewizji. Talent tancerki i śpiewaczki, wielkie możliwości aktorskie - przyniosły jej uznanie widzów”. Dodajmy od siebie, że widzowie radzieccy zdolni nie tylko ocenili zdolności aktorskie naszej byłej „mazowszanki”. E. L.

czesnej, socjalistycznej kultury i dla jej rozwoju. Bo socjalistyczna kultura nie osiągnie dojrzałości, ludowość, humanistycznej pełni - w izolacji od tradycji, od innych podstaw, innych miar oceny.” E. L.

ów, m. in. artykuł wprowadzający i szereg objaśnień p. Stefana Kozakiewicza, kuratora Muzeum Narodowego w Warszawie. Dodajmy, że wystawa cieszy się ogromnym powodzeniem i użna na została za rewalizację wydarzenie kulturalne.

Istniejących animozji i zrygnowanie z nadmiernych zbrodni, budzących uzasadniony niepokój. Co udało się w stosunku do Francuzów, pomimo granicy zachodniej, winno stać się możliwe również w stosunku do Polaków”.

Zabką crawlem i po piesku

W każdy parny, słoneczny dzień kilkadziesiąt tysięcy łodzian szuka wody. Weiskają się zatem ludziska w zatłoczone autobusy i tramwaje, potem zaś — jeśli pogoda dopisała istotnie — weiskają swe ciała w wolne skrawki plaży i...

Uwaga! Rozpoczynają tzw. odpoczynek. Pod słońcem i nad wodą. Rozpoczynają — czyli ci wszyscy, co urlopy mają już za sobą, przed sobą lub przełożyli je na zimę.

Pan Janusz Z. — wytrawny znawca łódzkich kąpielisk — człowiek przy tym roztropny i mądry — w wyniku swych kilkuletnich obserwacji doszedł do wniosku, że:

1. Najciekawszymi i zarazem najbardziej popularnymi ośrodkami są: Anilana i Włóknarz (baseny) oraz Ruda i Arturówek (stawy).

Pan Janusz Z. — człowiek, jak się rzekło, roztropny i mądry — dokonał dalej takiej klasyfikacji:

a) Włodzewska Anilana skupia przede wszystkim młodzież do lat osiemnastu i sportowców.

b) Basen Włóknarza upodobała sobie szczególnie młodzież złota oraz dziennikarze, aktorzy i prawnicy.

c) Park I Maja w Rudzie, zwany popularnie stawem Stefanskim, jest najdoskonalszym przekrojem miasta — wszelkich dzielnic, środowisk, profesji; więc uważać można, że gdy słońce — Łódź w Rudzie.

d) Odległy Arturówek, ze względu na fatalne połączenia tramwajowo-autobusowe, jest w całej swej rozciągłości parkingiem dla motorowerów, motocykli i wszelkiego kalibru aut. Właściciele tych pojazdów nadają ton kąpielisku.

Łódź posiada ogółem 12 ośrodków wodnych. W liczbie tej znajduje się 5 stawów (Ruda, Arturówek, Zdrowie, Młynek i stawy Jana) oraz 7 basenów odkrytych (Anilana, Włóknarz, Budowlanych, ŁKS-u Politechniki (2 baseny) i Piątego Oddziału Straży Pożarnej (przy ul. Przybyszewskiego).

Pan Dyzio H. jest ratownikiem. Pan Dyzio H. twierdzi, iż nie ma dnia, by nie podeszło do niego od pięciu do dziesięciu mężczyzn w różnym wieku z propozycją:

— Pościgamy się, panie ratujący?... —

Pan Dyzio odmawia. Musi przecież mieć oczy otwarte i wypatrywać tonących. Za to mu płacą. Nie w głowie mu figle.

Bywa jednak, że pana Dyzia poniosą nerwy. Ogląda się wówczas na wsze strony — czy nie ma przypadkiem w pobliżu kogoś z kierownictwa — i wyraża na wysłuch zgodę.

Tak się potem dzieje, że kontrpartniera ratownika przez 3/4 dystansu prowadzi (umiejętnie podpuszczany) w końcu zaś Dyzio daje mu szkołę: wypycha go zlekka pod wodę, pozwala mu popić i półprzytomnego holuje do brzegu.

Bywają nad łódzkimi wodami ratownicy supergorliwi. Oprócz normalnego wyposażenia — a więc apteczki, koła ratunkowego i kajaka — mają często pod ręką lornetki. Te lornetki przytaszczyli z domu, żeby mieć lepsze widzenie.

— Ta czarna — mówi do kolegi ratownik W. — dobra sztuka, w porządku...

Ale ratownik W. jest czujny, toteż po chwili kieruje szkła w inną stronę...

— Zobacz sobie — mówi do kolegi podając mu lornetkę — tam pod 'asem — i wytyka jakąś damę palcem. — To jest ciasto!...

Grzegorz Majchrzak przeczytał jedną

z łódzkich gazet i wpadł w złość. Przyczyną tego była umieszczona w gazecie opinia ratownika T. jakoby tonący nie mógł krzyczeć.

T. poddany został onego czasu eksperymentowi — udawał topielca niemego (machał zato rozpaczliwie rękami) i czekał na reakcję kolegów w różnych miejscach z różnym skutkiem.

— Gdyby T. naprawdę zaczął tonąć, wówczas machałby dużo oszczędniej —

dzie na dno, a on tak po prostu wesoło pływa i oburza się, gdy chce mu pomóc. Czasami znówu myśleć by można, że gość płynie stylem rozpaczliwym — a on tonie...

Przepisy są po to, aby je omijać. — Na wszelkich mostkach wszelkich kąpielisk, napis głośi, że skakanie wzbronione! Niektóre z mostów opancerzone są nawet siatką mającą skoki utrudniać.



powiedział pan Grzegorz. — Ale głos by odzyskał. Ryczałby jak żarzynany.

12 łódzkich ośrodków wodnych zatrudnia obecnie 33 ratowników. Najliczniejsze pogotowie posiada Arturówek (9 ratowników) oraz Ruda (8 ratowników — z tym, iż ilość przewidzianych tu etatów określa cyfra 10 i 2 miejsca czekają na obsadę). 4 ratowników strzeże stawów Jana, pozostałe zaś obiekty, w zależności od wielkości i frekwencji, dysponują jednym lub dwoma ratownikami.

Ratownicy legitymują się świadectwami ukończenia specjalnych kursów i co jakiś czas poddawani są surowym egzaminom. Wynagrodzenie ratownika pierwszej klasy wynosi 520 za godzinę zaś klasy drugiej — 5 zł. Praca ich trwa 8 godzin dziennie, 4 dni w miesiącu mają wolne. Najlepsi z nich otrzymują 30 procent uznaniowej premii.

Z tym tonieniem bywa dziwnie — twierdzą zgodnie wszyscy ratownicy. — Wydaje się czasami, że gość zaraz pój-

W bieżącym sezonie na obszarze łódzkich wód strzeżonych utonęło pięć osób, natomiast dwadzieścia od-ratowane w ostatniej chwili. Ofiarami zostają najczęściej pozbawione opieki dzieci oraz pijani mężczyźni, którym wstęp na teren kąpielisk jest przecież wzbroniony?!

Obok sportowców wodnych i kopania bądź tłuczenia rękami piłki — najpopularniejszą rozrywką plażową są karty. W kucki, na leżąc i siedząc kilkusobowe grupy młodych i starych hazardzistów zapominają o bożym świecie i walczą zapamiętale o upatrane w piachu grosiki. Nierzadko ich karciana pasję przerywa dopiero nagły, zaskakujący deszcz.

Zarówno na basenach jak i nad stawami rozsądny człowiek, gdy jest sam a chce się wykapać, powierza swe ubranie jakimś czcigodnie wyglądającym ludziom. Rozsądny człowiek wie, że nad wodą wypadki kradzieży zdarzają się często.

Bywa jednak, że rozsądny człowiek po wyjściu z wody nie może odnaleźć czcigodnych ludzi, których uczciwości po wierzył swoje łaski. Biegnie wówczas do domu w samych slipach.

O „Kolibrach“, „Stokrotkach“ i wszelkich innych graj-maszynach można by nie pisać, gdyby nie wtórowały im uparcie akordeony, balabajki i coraz modniejsze gitary. — Jak to wszystko zbierzemy — otrzymamy uniwersalną, plażową zupełną z wrzasków i melodii, w różnych tonacjach i językach, nad którą niepodzielnie króluje „Nie bądź taki beatles“, albo coś w tym stylu, bowiem śpiewów chóralnych Polak się nie wstydzi.

Czy to będzie basen przy Alei Unii czy kąpielisko Tramwajarza na Zdrowiu — wszędzie śmieci znajdziemy bez liku. Będą to stare i nowe gazety, skorupki od jaj, pestki od wiśni, resztki chleba i wedliny, zgnile truskawki i pomidory. Sporo także butelek od win, wódek i piwa. Tak na oko zdawać by się mogło, że nie podoba temu sto samochodów Zakładu Oczyszczania Miasta. Ale są przecież na świecie krasnoludki, gotowe zebrać buteleczki i upłynnić w sklepie, zrobić stos ze starych gazet i podpalić, porzucić trochę odpadkami w mętnej wodę. W ten sposób śmieci, ułatwiają się cudownie.

W ciągu jednego słonecznego dnia kąpieliska łódzkie goszczą ogółem około stu tysięcy osób. Przez każdy z basenów przewija się przeciętnie dwa tysiące ludzi, przez każdy ze stawów — kilkanaście. Ostatnimi czasy na maraton pływacki w Rudzie spoglądało 70 tysięcy łodzian.

Czterdziestoletni, w trzywciercowych spodenkach „mózgowiec“ trzeci raz z rzędu pokonał strach i na drżących nogach siedł po rozhuśtanej desce, by wykonać kolejny skok...

— Proszę pana — zawrócił go nagle mały chłopiec.

— Czego chcesz?

— Pan mnie przepuści!...

„Mózgowiec“ wzruszył ramionami i ustąpił małemu miejscu. Wówczas mały rozhuśtał silnie deskę, wybił się w górę a w powietrzu złożył porządnie, ręce i nogi.

— Widział pan, jak to on fajnie robi? — zaatakował „mózgowca“ inny mały. Ręce, proszę pana, muszą zakryć głowę. — Pewnym krokiem doszedł do końca tram-poliny i wykonał poprawny skok.

Odbył się niedawno na włódzkim basenie ciekawy pojedynek. Dystans — 25 metrów, styl — dowolny. Startowali: ambitny ojciec i syn.

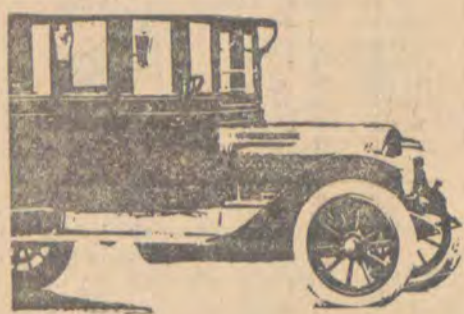
Zwyciężył o dwie długości ciała... junior. Szumu i śmiechu było przy tym co niemiara.

— Nie te lata — stwierdził zawstydzony papa. — Zresztą, mnie w młodości pływać nikt nie uczył!

LKKF zorganizował na terenie pięciu kąpielisk (Arturówka, Rudy, stawów Jana, Anilany i Włóknarza) naukę pływania dla dzieci. Pod fachowym okiem instruktorów kilkadziesiąt łódzkich szkrabów pięci obojga zdobyło odznakę: „Już pływam“. Wielkie brawa dla tej inicjatywy!

Nikt tak nie kocha wody, jak pływak. Ponieważ każdy ratownik jest pływakiem, powinien także wodę kochać. I kocha! Ale często się zdarza, że mówi:

— Woda — rzecz przemiła, ale wredna...



CO ZAGRA ZA MIASTO

Dalszy ciąg ze str. 1

stać również z kanalizacji, wylaniecie bowiem nieczystości do rynsztoków jest pierwszym krokiem do zanieczyszczenia tego całego dorobku w stanie sanitarnym miasta, z którego jesteśmy — i słusznie — tak dumni.

Ludzie, walczący o nasze zdrowie i zatrudnieni statowo w instytucji mieszczącej się przy ulicy Przybyszewskiego 10, zainstalowali swego czasu w 150 punktach Łodzi specjalne pojemniki z koskami. Nazywają je punktami sedymantacji czyli punktami osadowymi. Co miesiąc regularnie zaglądają do pojemników, wysypują ich zawartość, potem je ważą, potem niosą wyniki na specjalne mapy, a gdy już mapy są gotowe, wysnuwają wnioski. Przede wszystkim wysnuł wniosek następujący — nasze miasto zajmuje w Polsce drugie miejsce (po Śląsku) pod względem zanieczyszczeń w powietrzu. Tylko Śląskowi jest jeszcze trudniej oddychać niż mieszkańcom Łodzi. Bo okazuje się, że w naszym mieście na każdy kilometr kwadratowy powierzchni spada w ciągu roku 598 ton różnego rodzaju pyłów, stawiając miasto wysoko ponad przeciętną krajową (wynoszącą 360 ton).

Ale, jak już wiemy z dowodów o przeciętnych statystycznych — i ta przeciętna nie może dawać jasnego obrazu. Wiedźmy: przeciętna w Łodzi wynosi 598 ton, ale w śródmieściu aż 810. Bądźmy jednak jeszcze dokładniejsi — w śródmieściu Łodzi istnieją rejon, które można śmiało nazwać rejonami najgroźniejszymi dla płuc mieszkańców. Jest to rejon Wólczańskiej, Gdańskiej i Zielonej oraz rejon starych elektrowni przy ul. Tuwima, od Główniej do Jaracza, gdzie rocznie na 1 km kw. spada 3.243 tony pyłu węglowego.

Oczywiście, już w tej chwili trzeba wspomnieć o dobroczynnym oddziaływaniu Elektrociepłowni im. Lenina, likwidującym fabryczne kotłownie, zmory najbliższego otoczenia zakładów przemysłowych, chociaż badania wykazały, że szkodliwość kominów fabrycznych nie stanowi całego zła. Ze wrogiem nr 1 naszych płuc są również wszystkie paleniska i piece w domach mieszkalnych. Bo czym wytłumaczyć takie zjawisko: najwięcej zanieczyszczeń przez SO₂ (dwutlenek siarki) powstaje w Łodzi w okresie jesienno-zimowym, gdy we wszystkich piecach pali się na potęgę?

Dlatego też oprócz problemu szybkich

połączeń fabryk z EC-2 istnieje również ważny problem likwidacji pieców, czyli przyłączenia lokatorskich do sieci centralnego ogrzewania. I tu mała uwaga — jeśli lokatorzy nowych osiedli wykorzystują czasem wszelkie możliwości interwencyjne, aby przyspieszyć moment przyłączenia ich bloków do sieci ciepłowniczej, to oczywiście mają rację, bo trzeba rozumieć niecierpliwość ludzi, którzy otrzymali nowe mieszkania i chcieliby tak natychmiast uczynić z własnych mieszkań lokale o najwyższym światowym standardzie. Nie zapomnieliśmy jednak, że większe prawo do interwencji mają władze lokatorskie ze starych domów śródmieścia, z rejonów najgroźniejszych dla płuc człowieka, gdzie działają nie tylko 10-krotnie większe niż przeciętnie zanieczyszczenia pyłami, ale gdzie również nieustannie wylatują w niebo ogromne chmury dwutlenku siarki z domowych pieców i domowych kotłowni c. o. Fachowcy z ul. Przybyszewskiego 10 również są zdania, że w interesie zdrowia mieszkańców śródmieścia, najbardziej zagrożonych pyłami, należałoby przyspieszyć proces przyłączania ich mieszkań do sieci ciepłowniczej ogólnomiejskiej.

W tym miejscu można by sobie przypomnieć również opinie naukowców łódzkich. Prof. Zych z Uniwersytetu Łódzkiego swego czasu stwierdził, że łódzianom najbardziej potrzebny jest wyjazd w okresie miesięcy... jesienno-zimowych, wtedy, gdy łódzkie powietrze dla wszystkich cierpiących na choroby dróg oddechowych jest niemal zabójcze. Jest to bowiem okres wzmożonej działalności wszystkich kominów, i fabrycznych i domowych, których były atakują drogi oddechowe i płuca, pogarszają ogólne samopoczucie i nawet powodują nerwice. Oczywiście — jak wiemy — nikt tą opinią jeszcze się nie przejął: rądy zakładów nadal klerują na wozach przeważnie w okresie lipca i sierpnia, kiedy w Łodzi powietrze jest stosunkowo najmniej szkodliwe...

Jak walczyć ludźle z ulicy Przybyszewskiej? Trzeba przyznać że dziedziną... powietrza, którym oddychamy na co dzień, jest również jedna z dziedzin, do których nie dotarliśmy jeszcze nasze ustawy. Do ubiegłego roku Sanepid wydawał oczywiście zarządzenia nawołujące do instalowania urządzeń odprowadzających i zabezpieczających, zarządzenia, których jednak przeważnie nie realizowano (z braku ustawy i przepisów resortowych), w tym roku Sanepid przestał je wydawać, gdyż ustawa spodziewana jest lada miesiąc czy kwartał. Jesteśmy więc w Łodzi w okresie zawieszania broni: Sanepid nie wydaje zarządzeń. Ale pracownicy z Przybyszewskiego nie spoczęli na laurach. Mają obecnie wiele pracy z ustaleniem największych winowajców, z którymi przyjdzie rozprawić się ustawie. Wdzieliśmy wyniki dotychczasowej ich pracy: listę fabryk łódzkich, najbardziej dających się we znaki naszym płucom.

Wśród nich do czołowej siódemki należą: Łódzkie Zakłady Włókien Sztucznych (czyli i gaz), zapyłające powietrze łódzkie (3068 kg zanieczyszczeń na dobę) i zatrutujące je oprócz tego dwusiarczkiem węglowym i siarkowodorem, staruszką elektrownią z ul. Tuwima (11.336 kg pyłów na dobę), Zakłady im. Marchlewskiego (liwii i chlor i tlenki azotu), Łódzkie Zakłady Chemiczne z ul. Clusnej (gazy), „Polska” z ul. Drewnowskiej (gazy), Gazownia, Łódzkie Zakłady Obuwia Gumowego z ul. Limanowskiego.

Ta lista pójdzie do Warszawy i znajdzie się na biurku specjalnego pełnomocnika, ustanowionego uchwałą Rady Ministrów z 12 stycznia br., który ma opracować krajowy program walki z twórcami zanieczyszczeń naszej atmosfery, ustalić hierarchię najpilniejszych zadań w tym zakresie i nawet opracować program produkcji urządzeń zabezpieczających.

Ponad ustrojem i niezależnie od szerokości geograficznej jest też druga zasadnicza choroba Łodzi — hałas, i tu brak jeszcze przepisów prawnych, regulujących stosunek twórców hałasu do postulatów zdrowia obywateli. Czekają więc na ustawę i oby-

watele i fachowcy od hałasu z łódzkiego Sanepidu, odkąd bowiem medycyna stwierdziła, że wśród przyczyn „choroby XX wieku” — nerwicy — jedno z czołowych miejsc zajmuje hałas, zgiełk wielkiego miasta itp., problem przestał być problemem akademickim, a stał się zagadnieniem społecznym.

Przypomnijmy, że dotychczasowe usiłowania władz sanitarnych w tej dziedzinie były raczej walką z wiatrakami, że zarządzenia Sanepidu, żądające wyciszenia pewnych urządzeń i zmniejszenia ich uciążliwości dla najbliższego otoczenia, spotykały się (lub nie spotykały) jedynie z dobrą wolą dyrektorów i kierowników przedsiębiorstw, że ustaloną dopuszczalną dla ludzkiego zdrowia ilość decybeli — 35 — przekraczana jest w praktyce przez wszystkich dysponujących silnikami, agregatami chłodniczymi, maszynami pralniczymi i przemysłowymi wentylatorami...

W dalszym ciągu projektanci nowych bloków nie przewidują zastosowania materiałów pochłaniających dźwięki (antyakustycznych), bo materiałów tych w Polsce jeszcze nie ma, a import przewróciłby nam całą kalkulację kosztów masowego i taniego budownictwa przemysłowego, w dalszym ciągu nasz handel nie żąda od administracji domowych wyposażenia parterowych lokali sklepowych i tych przeznaczonych na usługi (pralnie, sklepy mięsne z szafami i agregatami chłodniczymi, pracującymi jak silniki okrętowe) w specjalne zabezpieczenia ochraniające lokatorów z pierwszego piętra, nadal fabryki instalują „wentylatory — odrzutowce”, kilkakrotnie przekraczające hałasem normy dopuszczalnych ilości decybeli.

Dlaczego? Bo przedsiębiorstwa budowlane muszą budować szybko i tanio (zresztą kogoś z czekających na nowe mieszkanie interesuje marginesowy fakt, że po wprowadzeniu się jego rozmowa na parterze usłyszy sąsiad z trzeciego piętra?), bo handel ma plan rozwoju sieci sklepów i usług, a konsekwencje z tytułu niewykonania tego planu są to razy ostrzejsze i bardziej przykre, niż skutki zastosowania szafy chłodniczej, spędzającej sen z oczu lokatorom z bloku, bo i dyrektor w fabryce chce mieć „z głowy” postulat bhp i instalując wentylator-odrzutowiec, wyniszczający nerwy mieszkańców najbliższych kilku domów, nie musi myśleć o tym, że wkrótce po zaistnieniu podobnego wentylatora w fabryce mieszczącej się obok jego, dyrektora domu, sam napisze skargę do Sanepidu...

Ale nie z samymi tylko trucicielami powietrza i sprawcami hałasu walczyć. Niebezpieczeństwo czyha i w kawiarni, i w cukierni, groźne może być każde danie, wybrane z karty restauracyjnej. Nie notujemy już w Łodzi masowych zatrueń pokarmami, a ostatnie większe zatrucie wydarzyło się przed 1958 rokiem (po zjedzeniu lodów w barze mlecznym, gdzie pracownica była nosicielem duru, choć chorą na dur nie była), kiedy to zachorowało od razu 300 osób, to przecież w dalszym ciągu sztab 27 pracowników Sanepidu, działających pod kierunkiem mgr Barbary Studniarskiej odwiedza kuchnie i patrzy na ręce kucharzy, bada produkcję garmateryjną i cukierniczą, szuka gronkowców złośliwych w lodach i ciastkach. Ogólny stan sanitarny miasta sprawia, że ze strony producentów środków żywności nie grozi nam już większe niebezpieczeństwo, nadal jednak tracimy w Łodzi około 80 tys. dniówek rocznie — tylko z powodu zwolnień chorobowych na zatrucia pokarmowe.

Praca tego sztabu nie jest łatwa, bo warunki w jakich pracuje handel, restauracje, bary czy kawiarnie, nadal dalekie są od ideału. Gwarancją czystości i dobrej z punktu widzenia konsumenta organizacji pracy jest bowiem tzw. zaplecze: kuchnie, magazyny żywnościowe, wyposażenie sanitarne zakładu itp. W Łodzi zaś tak jest jakoś fatalnie składowa, że co który nowy zakład żywienia zbiorowego otrzyma nowoczesne i dobre zaplecze, to się okazuje, że wydaliśmy miliony nie na zbyt trafnie, gdyż lokal taki... świeci pustkami.

Mamy na myśli nowe lokale gastronomiczne i kawiarnie na peryferiach miasta, które naprawdę korzystają z urządzeń

gwarantujących zdrowie konsumentów (np. restauracja na ul. Czarnkowskiej na Balutach), w których frekwencja jednak jest minimalna, do tradycji bowiem należy jeść i pić (na co dzień) w tyle jakiejś speluncy, decyzja zaś wydania większej kwoty na lokal kategorii I lub S zapada raz-dwa razy w roku. Dlatego lokale nowoczesne na przedmieściach świecą pustkami, dlatego lokale w śródmieściu (przede wszystkim te o kategorii II i III) są z roku na rok coraz bardziej przepiętowane, a potrawy w nich produkowane coraz bardziej budzące zastrzeżenia), bo przy tym samym zapleczu bar musi wydać kilka razy więcej dań, niż powinien z uwagi na przepisy i wymogi sanitarne.

W tej chwili już np. „Balaton” (lokal bardzo nowoczesny i sanitarnie na wysokim poziomie) ma „przepustowość” dużo większą niż planowano w dniu uruchomienia tej restauracji, w tej chwili dobry kucharz w „Orbisie” również nie może być już najlepszą gwarancją jakości potraw, gdyż zaplecze kuchenne, z jakiego korzysta nie jest już dostateczne.

Tego dnia mgr Studniarska kazała zamknąć produkcję garmateryjną sałatek śródziemnych i majonezu w pewnej wytwórni na Chojnach, bo kontrola stwierdziła w niej złe warunki sanitarne, kilka dni przedtem zamknęła restaurację w śródmieściu — również w obronie żołądków konsumentów, ale te interwencje są zaledwie znikomą częścią bitwy o nasze zdrowie.

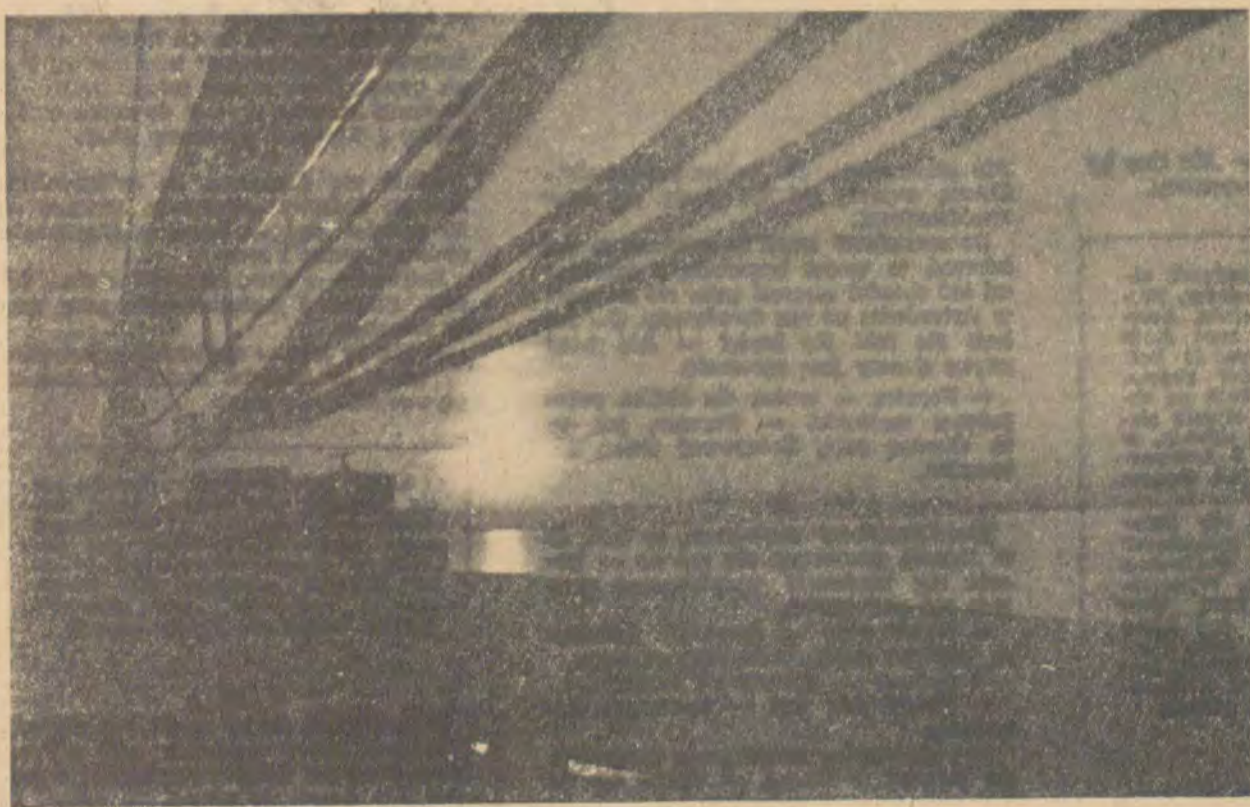
Bitwa toczy się bowiem i o lepsze warunki sanitarne, w jakich pracować powinni dostawcy naszego chleba powszedniego (obecnie piekarnie łódzkie pracują na 3,2 zmiany, co oznacza, że w ciągu doby nie ma już ani minuty czasu na sprzątanie i czyszczenie) i o higienę i ład w wytwórniach mięsnych i wędliniarskich. I nawet o porządek w przedszkolach i domach dziecka. W tych ostatnich — nieraz wśród szkoldników zagrażających zdrowiu, choć braku czystości występuje i ludzka chciwość ograbiająca bezbronne dziecko, że wspomniemy choćby kradzieże artykułów żywnościowych ujawniane niekiedy w tego rodzaju instytucjach opiekuńczych. Dodajmy, że jest to zjawisko społecznie tak samo groźne i niebezpieczne, jak — powiedzmy — kradzież cennych dla zdrowia zastrzyków w szpitalu...

Ale ustawy i przepisy wykonawcze, które w niedalekiej przyszłości mają skutecznie niż dotychczasowe środki zwalczające w naszym mieście dwóch najgroźniejszych wrogów współczesnego człowieka — tony pyłu w powietrzu i setki decybeli, atakujące nasz system nerwowy — same nie pomogą. Będzie im potrzebna również i stopniowa zmiana w mentalności ludzkiej.

Chodź o zmianę nastawienia dla spraw zdrowia — i to zdrowia w sensie ogólnym, społecznym — ze strony wszystkich potencjalnych sprawców zagrożenia: projektantów nowych bloków i całych osiedli, radnych, czuwających nad prawidłowym rozwojem miasta, inżynierów i konstruktorów maszyn i urządzeń uwalniających nas od pyłu i hałasu.

Oni wszyscy powinni jak najrychlej pomóc Sanepidowi, jeśli Sanepid ma z coraz lepszymi rezultatami pomagać nam...

FELIKS BABOL



OPOWIEŚĆ O CHYTREJ RZECIE

Dalszy ciąg ze str. 1

Pierwszym człowiekiem, którego zobaczyłem po wejściu na pokład BM 5028 była kobieta. W dodatku teściowa. Znając wodniackie przesady zdziwiłem się nieco. Jeszcze bardziej zaskoczył mnie widok wychodzącej spod pokładu młodej kobiety z dzieckiem na ręku. Dopiero potem, kiedy zaczęłam na setki liczyć odrzańskie kilometry, a na pęczki spotkań ludzi i barki, przestałem się dziwić. Zupenie inne to życie niż człowiek sobie wyobrażał. Żona nie pracuje, to pływa z mężem. Miejsce jest dosyć, to dla wszystkich wystarczą. Ze niby bezpieczniej nie puszczaj go samego? — śmieję się, — Nie! Ciężko z dzieckiem na

barce? Też nie. Przyzwyczajają się człowiek.

Nasza BeeMka ma przeszło 50 metrów długości, pojemności 400 ton, dwa silniki i trzech ludzi załogi. Rysiek — kapitan, żonaty, żona we Wrocławiu, pływa od śledmju lat. Andrzej — motorzysta, żona z dzieckiem na barce, pływa od sześciu lat. Kocha psy i dwa hoduje, też na barce. „Zostawić je u kogoś? Człowieku, toż by ze szczeniem zdziałały!” Staszek — bosman, kawaler, też od jakichś pięciu lat na barkach. Wszyscy przyszli do Żegluga tak jak i większość młodych — po wojsku. No i zostali. Teraz wracają z Belgii. Wiozą do Koźla pszenicę. Wszyscy trochę zmęczeni. Jakże inaczej, dzień na rzecę zaczyna się o 4 rano, a kończy jak jest ciemno. Szlak ruczliwy, choć nie to przecie co Ren, albo Albertskanal, a uważać trzeba. O wypadek nie trudno. Sluza po sluzie pnie się barka w górę rzeki, a przecie to nie żaglówka, manewrować niełatwo. Sluza wąska, ot tyle, żeby się zmieścić. Wszystko razem przypomina manewrowanie samochodem ciężarowym przy wejściu do ciasnej bramy. Tylko, że samochód zwrotniejszy niż to pudło. Pudło? — pieszczołiwie chyba. W gruncie rzeczy dumni są ze swojej łajby i chcą, żeby jej żadna inna na Odrze nie zakasowała. Trudno będzie, bo inni też nie gorsi, ale zawsze to ambicja. Ta pierwsza, bo inne to już cichsze, bardziej prywatne.

Andrzej pieści swoje pieski, karmi witaminami i w wolnych chwilach

Fot. E. Kudał

ŚMIERĆ BRUTUSA

Po nocach wył Brutus. Żeby nie było żadnych wątpliwości stwierdzam zaraz na początku, że tak się wabił pies. W pierwszych dniach mego pobytu na wsi zastanawiałem się czemu dano podwórzowemu czworonogowi tak historyczne imię i skąd się ono tu wzięło. Szkoła? Nie zauważyłem dotąd nigdy, aby wiejskie szkoły wywierały jakikolwiek wpływ na imiona psów łańcuchowych. Dzieci od lat uczą się historii powszechnej, ale na wsi szczekają Burki, Finki, Znajdki i Muchy. A tu nagle, na zapadłej wiosce siedzi przy budzie Brutus. Przeprowadziłem więc u gospodarza, u których mieszkałem, dokładny wywiad z którego wynikało, że ów pies ujadający po nocach, nazywał się początkowo Brudus. W miejscowej wymowie brzmiało to Brudos. Następnie zaś, nauczycielka, która poprzednio jakiś czas mieszkała w izbie, gdzie ja teraz mieszkam, uszlachetniała to imię i zaczęła go nazywać Brutus. Tak więc zagadka historyczno-etymologiczna została wyjaśniona. Nie wpłynęło to bynajmniej na zachowanie się psa. Obojętnie — Brudas, Brudos czy Brutus wył, szczekał i ujadał po całych nocach nie dając mi spać. Próbowałem przekonać gospodarza, żeby spuszczał go z łańcucha choć na noc, jeśli nie można w dzień, ale gospodini odpowiedziała, że Brutus jest bardzo zły, wybiegnie na drogę i będzie gryzł ludzi, a w ogóle uważa, że nie należy przejmować się zbytnio stworzeniem, które nie ma duszy. Wyje po nocach? A niech sobie wyje. Szczeka i ujada? A niech sobie... Wszystkie psy na wsi robią to samo i jakoś nikomu to nie przeszkadza. Jej mąż, gospodarz, także był podobnego zdania. O ile w ogóle był jakiegos zdania. Już poprzednio zauważyłem, że ilekroć małżonka wydawała w jakiejś sprawie sąd, kiwał głową mrucząc: „Hm, yhm, tak tak”. Również i teraz, jedząc śniadanie, między przeknięciem jednego i drugiego kęsa mruczał aprobująco.

Odpowiedziałam gospodini, że nie rozumiem jej troski o spodnie i tydki ludzi, którzy wleczą się nocą po drodze, i że jakkolwiek pies choćby i nie miał duszy, nie daje mi spać, ale gospodini nie podjęła dalszej dyskusji na temat Brutusa. Tak więc Brutus nadal miał szczekać i wyć po nocach uniemożliwiając mi sen i wypoczynek.

Prawdę mówiąc, ta historyczna nazwa wydawała się odpowiednia dla owego psiego egzemplarza. Było to zwierzę, jak na wiejskiego, podwórzowego psa, dość duże. Kundel, ale z wyraźnie wybijającymi się cechami po ojcu, czy też dziadku, albo nawet pradziadku bokserze z przymieszką chyba wilka. Maść miał jasnobrązową, prawie żółtą. Już to samo mogło nieprzychylnie usposabiać do niego tutejszych mieszkańców. Żółty kolor, gąsiekowy, jak go tu określano, był tu wykiety. Jak się później dowiedziałem jest to zakorzeniony od czasów średniowiecza przesąd, że barwa żółta, jest cechą zdrajcy i Judasza. Tak więc już natura stworzyła Brutusa na zwierzę podstępne, zło, zdolne do zamordowania nawet swego przyjaciela, jak ów historyczny jego imiennik.

Brutus na łańcuchu spędzał całe swe życie przy budzie przywartej do ściany stodoły. Było to życie okrutnie samotnicze. Stodoła bowiem znajdowała się dość daleko od innych zabudowań gospodarczych i domu. A na dodatek była o tej porze roku pusta. Dlatego nie wiadomo było czego właściwie Brutus pilnuje. Złodziej mógłby sobie chodząc po obejściu i ukradnąć co tylko by chciał. Brutus nie mógł go dosięgnąć. Mógł najwyżej szczekać, a na to gospodarze nie reagowali. Wychodząc z założenia, że pies powinien mieć psie życie, nie interesowali się nim i prawie wcale o niego nie dbali. Toteż bywało, że Brutus nie otrzymywał czasem nawet swej codziennej strawy.

Moje zaś nerwy z powodu brutusowego wycia i szczekania przechodziły ciężką próbę. Któregoś nocy powiedziałem więc postanowienie, że albo zajmę się psem i dokonam czegoś co sprawi, że Brutus przestanie wyć, albo jak najszybciej stąd wyjadę. Zając się psem? Dobrze powiedzieć, że jak tego dokonać? Należałoby tłumaczyć sobie zaprzęgnięciem się, o ile to tylko możliwe, z Brutusem, a potem zobaczyć. Może znajdzie się jakiś sposób, aby go przekonać, żeby w nocy zachowywał się cicho.

Rano poszedłem w kierunku budy, uważając, aby nie zbliżyć się za blisko. Brutus na te odwiedziny zareagował głośnym i gwałtownym szczekaniem. Oczy miał zle i nieprzytomne. W pewnym momencie jednak, kiedy stałem spokojnie i przemawiałem do niego, zauważyłem że złągodniał jego wzrok, a Brutus parę razy zamachał lekko ogonem. Kiedy pies merda do człowieka ogonem to chyba nie jest taki zły. A że szczeka? Przecież musi się wykazać czujnością wobec swych właścicieli. Przyjawszy to założenie przez trzy następne dni systematycznie odwiedzałem Brutusa, rzucając mu chleb lub kości z kury. Brutus coraz mniej na mnie szczekał, coraz częściej merdał ogonem. Nie-

stety wył po nocach jak dawniej, może nawet jeszcze gorzej.

Powtarzałem moje wizyty przy psiej budzie. Brutus oswajał się najwyraźniej. Wreszcie już nie tylko nie szczekał na mój widok, ale zaczął mi okazywać przyjaźń. Cieszył się i radośnie popiskiwał ilekroć mnie ujrzał. Któregoś dnia zdecydowałem się spuścić go z łańcucha. Zabrałem go na spacer w pole. Z początku prowadziłem psa na pasku, potem puściłem wolno. Brutus przepadł w zielonym kłosałym zbożu. Bałem się, że ucieknie i nie wróci, albo spotka kogoś na drodze i pogryzie, ale kiedy szedłem w kierunku domu, Brutus nagle znalazł się przy mnie i dał się posłusznie zaprowadzić do budy. Gdy go wiązałem, posłyszałem za sobą czyjeś ciężkie kroki. Odwróciłem się. Za mną stał gospodarz.

Spoglądał na niego pytająco.

— Niech pan nie mówi żonie — powiedziałem.

— Nie. Czego mam mówić — odezwał się mrukliwie.

— Pana żona nie lubi, kiedy psa spuszczać z łańcucha?

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

Mówię: matko — i słowo umiera
twoje imię tak śmierci posłuszne

Nawet drzewo bezradne nad grobem
jak topielec przechyla się w pustkę

Nieobecność tym większa że twoja
w którą patrzę i poznaję ledwo

Dokąd płyniesz podziemnym okrętem
że aż pamięć próchnieje podę mną

Nóz

Nóż jak strój śmiertelny trzeba go przymierzyć
by wiernie pasował do ludzkiego ciała
Ostrzem prosto w przyszłość nim braknie odwagi
i ręka wypuści płonącą rękojeść

Ciepła krew na wieki z żalem się zmiesza
Wróg ogryzie kości i to przyjaźń uwierzy
W słońcu ktoś jak Płak obmyje swe dłonie
i czerwien popłynie wszystkich rzekami

Tylko długi w kasach zostaną jak wyrok
skazujący trupa na powstanie z prochu
To co śmierć zabrała bank odbierze żywym
Cień trupa głodnego zamieszka w narodzie

Dobry Bóg na ziemi zjawi się ukradkiem
by natchnąć do buntu żebraka lub ogień
Znowu w jego usta wbią pocatunek
i wsadzą dla śmiechu na tron elektryczny

Wtedy nóż tak cichy niechaj pozostanie
ukryty gdzieś w dłoni za powolnym gestem
i niech się wypełnia jego sprawiedliwość

Wiersze z tomu pt. „Las otwarty dla wspomnień“, który
ukazuje się w Wyd. Łódzkim.

— Nie. Marycha nie lubi. To ostry pies — uzupełnił po chwili.

Uwiązałem psa i poczęstowałem gospodarza paplepiem. Zaciągnął się wolno, jakby z namysłem, mrucząc przy tym oczy.

— A właściwie czemu trzymacie psa przy stodołę? — spytałem po chwili. — I psu źle, i wam żadna korzyść.

— A bo ja wiem — odpowiedział niechętnie.

— Jak to? Nie rozumiem! — zawołałem. — Przecież pan tu gospodarzem. Nie?

Pokiwał milcząc głową, a potem nagle powiedział żywo: „Tak się tylko wydaje. To wszystko Marycha”.

Zatoczył ramieniem krag wskazując na zabudowania, pole, warzywnik i sadek. Widząc, że nie bardzo pojmuję dodał jeszcze: „Mojego tu nie”. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wśród drzew mignęła jasna sukienka gospodini. Odszedł nie śpiesząc się. Zaczynałem rozumieć. Bezrolaty, który wzenił się w gospodarstwo? Ależ tak! Na pewno tak. Teraz przypomniałem sobie słowa Marychy podczas jakiejś kłótni małżeńskiej, którą chcąc nie chcąc słyszałem przez drzwi. Nie rozumiałem wtedy o co właściwie chodziło. A Marycha wrzeszczała, że jeśli mąż nie będzie jej we wszystkim słuchał, wyrzuci go z gospodarstwa i będzie takim samym dziełem jakim był, gdy się z nią żenił. A więc właścicielka i rzeczywisty gospodarz na tej roli był nie on, ale ona. Wspominałem moje przypadkowe rozmowy z tutejszymi ludźmi. O ile się zorientowałem, panował tu zwyczaj przekazywania ziemi córkom, splacania zaś

synów. W tym układzie, jeśli nasz gospodarz był przed ślubem z Marychą bezrolnym i nie wniósł żadnego wkładu pieniężnego do gospodarki, praktycznie był na jej łasce i niełasce.

Pies znowu wył tej nocy. Było chyba przed północą, kiedy nie mogąc tego znieść ubrałem się, otworzyłem skrzypiące drzwi do sionki, a potem ostrożnie przeszedłem ciemną sieni i stanąłem przy drzwiach wyjściowych. Wahałem się. Jeśli drzwi zaskrzypią, a skrzypiały tu zdaje się wszystkie, zbudzą gospodarzy. Ale po chwili, ku memu zdziwieniu zarówno ciężka zasuw jak i drzwi otworzyły się tak bezgłośnie jakby były niedawno posmarowane oliwą. Wyszedłem na podwórze. Noc była ciemna, ale ciepła. Gdzieś z sąsiednich zabudowań niosło się szczekanie psów. Brutus im odpowiadał długim, przeciągłym ujadaniem. Poszedłem w stronę stodoły. Kiedy Brutus posłyszał zbliżające się kroki zaczął gwałtownie szczekać. Dopiero za chwilę poznał mnie i radośnie skomleł rzucił się na łańcuchu w moją stronę. Gdy go uwolniłem, wiercił się, lizał moje ręce, skakał, tak że z trudem udało mi

się go odczepić. Gdy tylko poczuł, że jest wolny, wymknął się szybko i pobiegł w stronę pól. Cichutko wróciłem do izby. Nasłuchiwałem jeszcze jakiś czas czy pies nie wróci i czy nie zacznie szczekać w obejściu, albo co gorsza wybiegnie na drogę i rzuci się na jakiegos nocnego przechodnia. Właśnie posłyszałem czyjeś głośne stąpanie na drodze. Ale Brutus nie szczekał. Powoli uspokajałem się. Położyłem się do łóżka i wkrótce zasnąłem.

Nie wiem czy spałem długo czy krótko, ale zbudziło mnie gwałtowne szczekanie. Za oknem był mrok. Ujadanie Brutusa dobiegało skądś niedaleko, chyba z sadku. Potem posłyszałem czyjeś kroki, krótki, jakby stłumiony krzyk, może przekleństwo, szczekanie, zło, napastliwe, tupot oddalających się kroków, jeszcze chwilę ujadanie psa i wreszcie wszystko ucichło. W chwilę potem posłyszałem, że ktoś zbliża się do domu. Otwierał cicho drzwi. Wszedł niemal bezszelestnie do sionki. Wreszcie przeszedł do izby gospodarzy. Sprawa wydawała się jasna. Musiał zakradnąć się złodziej. Gospodarz zaalarmowany szczekaniem wybiegł z izby na dwór. Tymczasem Brutus przepędził intruza. No, nareszcie przekonają się gospodarze, że psa trzeba spuszczać z łańcucha. Przecież niewątpliwie przepędził złodzieja. Zasnąłem z myślą o tym jak dzielnie spisał się Brutus. Obudziłem się później niż zwykle. Gospodini dość srożko zawołała mnie na śniadanie. Jej wyraźne niezadowolenie przypisywałem temu, że zaspałem. Niechcąc wytrącić ją z normalnego trybu dnia.

Oczekiwałem, że Marycha wiejskim zwyczajem, opowie mi z wszelkimi szcze-

gółami i niemalą emocją o wyczynach Brutusa w nocy. Jak to zakradł się złodziej, jak to pies go przepędził, jak to mąż zbudzony szczekaniem wyskoczył z łóżka i wybiegł na podwórze. Jak złodziej umknął przerażony. Ale gospodini milczała. Gospodarz jadł śniadanie. Wstawał już od stołu.

— Wojtek — powiedziała Marycha — zakop no to ścierwo przy budzie.

„Co takiego?” — pomyślałem. „Ścierwo przy budzie?”

— Jakie ścierwo? — spytałem gospodini.

— No tego, tam, Brutusa — odpowiedział niechętnie.

— Kogo? Co? — poprawiłem się. — Brutusa? Zdechł? Co się właściwie stało? Przecież dziś w nocy przepędził złodzieja... — chciałem o tym mówić, ale gospodini spojrzała na mnie tak jakos dziwnie, że zamilkłem.

— No zbieraj się — przynaglała męża.

Wyszliśmy, gospodarz i ja, na podwórze. Już z daleka widziałem leżące Brutusa. Kiedy podszliśmy bliżej ujrzałem jego martwe oczy. Z pyska wybiegała zastygła, biała smułka piany.

— Brutus! — zawołałem — Brutus! Wiedziałaś, że tym razem Brutus nie poruszy się.

— Co się stało? Jak pan myśli? Kto go otruił? — spytałem gospodarza.

Nie odpowiedział. Popatrzył na mnie jakos dziwnie, z zagadkowym uśmiechem. Odczepił łańcuch z szyi psa, wziął zwierzę za ogon i zaczął je ciągnąć w stronę sadku.

— Gdzie pan go chce zakopać? Nie w polu? — zapytałem.

Przystanął puszczając ogon psa.

— Gdzie? A pod jablonką. To pan nie wie, że jak się psa, albo kota zakopie pod drzewem to lepiej owocuje?

Potem schylił się, znów złapał martwe zwierzę za ogon i powlokł dalej. Szedłem w milczeniu towarzysząc temu ponuremu i groteskowemu zarazem pogrzebowi.

Wreszcie dobiegnęliśmy pod jablonkę. Na ziemi, akurat w miejscu nie porośniętym trawą, wyraźnie odcisnęte były podęgi, charakterystyczne dla butów tak zwanych traktorów. Ślady wyraźnie prowadziły pod jablonkę. Tu musiał się złodziej zatrzymać. Machinalnie spojrzałem na nogi gospodarza. Stopy jego były znacznie mniejsze, a obuwie stare i zniszczone. Przeglądałem się właśnie odciskom poddeszew, gdy nagle spostrzegłem odbicie jeszcze innych butów, mniejszych, damskich pantofli. A więc? Przypomniałem sobie ciche kroki zbliżające się do domu. Przypomniałem sobie zasuwać i zawiązywać drzwi świeżo naoliwione. Czemu ów złodziej przyszedł akurat pod jablonkę? Jeśli chciał kraść, to szedłby pod oborę, albo do kurnika. W maju jabłek nie ma. Po jaki więc owoc przychodził intruz? Zaczynałem rozumieć. Czy rozumiał to i gospodarz?

Popatrzyłem na niego. Nim rozpoczął kopanie odkrył szpadlem prostokąt, wewnątrz którego miał odrzucać ziemię. Tak się dziwnie złożyło, że w obu rogach były odciski traktorów, a między nimi ślady ledwo widoczny, kobiecego pantofla.

Wreszcie grób był gotów. Niezbity glebok, bo nie pozwalały na to rozrośnięte korzenie drzewa. Zsunął psa łopatą w dół. Jeszcze raz, ostatni, spojrzałem na pysk Brutusa. Była w nim jakaś żalność, powaga śmierci, która drżenie w zastępych ryśach nawet martwego zwierzęcia.

— Brutus! — powiedziałem w myślach.

— Brutusie! I uświadomiłem sobie jak bardzo nie pasowało do niego to imię. Nikogo nie zdradził. Nikogo nie zabił, a tym bardziej nie miał zamiaru zabijać podstępnie. Służył wiernie. To ja, sprządałem na niego śmierć. Nie trzeba było spuszczać go z łańcucha.

Gospodarz przysypał psa ziemią. Potem, gdy już zagrzebał, ubijał butami grób, wolno, nie śpiesząc się.

— Wojtek!! — posłyszałem wołanie gospodini. Stała w progu domu podparta ramkami pod boki, młoda jeszcze, o pełnych piersiach i rozrośniętych biodrach.

— Wojtek! A długo będziesz się bawił z tym ścierwem? Krowy trza przyciągnąć z pola. Już południe.

Gospodarz nie szedł. Oparł się plecami o pień drzewa i patrzył ponuro w miejsce gdzie zakopał psa.

— Wojtek! — wrzeszczała coraz głośniejszą gospodini. Gospodarz ciężko oderwał się od pnia jablonki.

Potem zaczął iść wolno w stronę domu. Ramiona miał pochylone, jakby dźwigał ciężar. Ale ciągnął za sobą tylko łopatę. Wyglądał jak zbledzony pies wlokący za sobą opuszczony ogon.



Rys. M. Kapuścińska

Wkręgu NAL KOW SKIE!

„Nie bardziej zawodnego od wspomnień współczesnych — żywi przy tej okazji bynajmniej nie pozbywają się swej żywotności na rzecz zmarłych. Żywi wychodzą na spotkanie nieżyjących, uzbrojeni we wszystko, co uszczęknęli dla siebie z tych, których wspominają. Gdyż człowiek, gdy mówi, mówi o sobie będąc uległym wobec kuzena świadomości i — zmuszonym przez podświadomość. Te niewątpliwie trafne spostrzeżenia umieściła Ewa Szelburg-Zarembina w swoim szkicu znajdującym się w niedawno wydanym tomie pt. „Wspomnienia o Zofii Nałkowskiej”. Cytat ten umieściłam świadomie, ponieważ niektóre fragmenty zwierzeń w szerszym stopniu, niestety, uwzględniają osobę i działalność wspomnianego, niż sylwetkę pisarki. Relacje wydarzeń z lat 30, fakty ze społecznikowskiej działalności lewicy opisane np. przez Zajączka, osobliwie zresztą mocno zaangażowana w te sprawy, nie są przecież, mimo tytułu wspomnień o Nałkowskiej.

Książka składa się z 18 wspomnień osób, które znały Nałkowską bądź to z działalności w kręgach literackich, bądź ze wspólnej pracy społecznej, albo też czysto osobistych kontaktów. Sylwetka Nałkowskiej — działaczki społecznej — jest w tym tomie wyrażona w sposób nieadekwatny, nie tylko jako pisarkę, ale także kobietę. Zacieramy z nią znajomość, gdy ma 16 lat i towarzyszymy jej do ostatnich chwil życia. Książka dostarcza nam masę szczegółów z życia osobistego Nałkowskiej, przedstawia bliskie jej osoby, rodzinę, kolejne miejsca zamieszkania. I na tym tle wspaniała postać pisarki — pięknej kobiety, świadomej swego wdzięku, dumnej i trochę próżnej, a jednocześnie nie trwożliwej i niepewnej w sferze własnych przeżyć i uczuć, wrażliwej na każdą nędkę ludzką. Autorzy wspomnień niejednokrotnie podkreślają jej błyskotliwość w bez-

pośredniej rozmowie i dyskusji — „Rozmawiała poszukując i przypatrując się życiu” — napisał Breza. A jednocześnie każde wystąpienie oficjalne sprawowało jej dużo trudności, przygotowywała je długo i starannie, a z reguły kończyła nieefektywnym odczytaniem tekstu. To samo odnosi się do jej twórczości; każde zdanie było rezultatem długich przemysłów i modnych szlifów. Wspomnienia dostarczają także wiadomości o genetyce poszczególnych utworów, o warsztacie pisarskim, o charakterystycznej dla niej technice pisania na wąskich kartkach, ciętych potem i spinych krawieckimi szpilczkami. Mnóstwo ciekawostek, trochę anegdotek, zaduma i uśmiech składają się na ciekawą lekturę.

Z całego tomu należy wyróżnić przede wszystkim wspomnienia Wilhelma Macha, Tadeusza Brezy, Jana Kotta, Jerzego Zawieyskiego, Haliny Dąbrowskiej i długoletniego wydawcy pism Nałkowskiej — Jana Gebetnera. Wyróżnia się one tym, że pisane są „z serca, z wielkiego umiłowania i szacunku dla pisarki”. Najpóźniejsze, najbardziej wyczerpujące są „Myśli o nieobecnej” Macha, zawierające w końcówce części dramatyczny dziennik opisujący ostatnie godziny jej życia.

Nas, łódzian, szczególnie interesowałyby wspomnienia „o” — dotyczące pięcioletniego, wojennego pobytu pisarki w Łodzi, gdzie mieszkała w Domu Literatów przy Bandurskiego 8 (dziś Mickiewicza). A trzeba tu przypomnieć, że Nałkowska była laureatką nagrody literackiej miasta Łodzi w 1929 r. Niestety, skąpe są relacje z tego okresu. I tylko Jerzy Zawieyski poświęcił część swojego szkicu naszemu miastu. „Kuznica”,

której naczelnym redaktorem kilku numerów była Nałkowska, Teatr i Państwowy Instytut Teatralny pod egidą Leona Schillera, nowe wyższe uczelnie, rozwinęła się Film Polski, elita literacka i intelektualna, znajdująca się wówczas w Łodzi — wszystko to stanowiło o wysokim poziomie kulturalnym miasta. Nałkowska opuściła Łódź w 1950 r. przenosząc się do Warszawy. Szkoda, że do zrelacjonowania łódzkich faktów



z jej życia nie zaproszono nikogo z łódzkich pisarzy.

Z tym wszystkim „Wspomnienia o Zofii Nałkowskiej” są książką wnoszącą dużo faktów i wiadomości z życia pisarki, dużo różnorodnych czasem opinii i sądów. Ale im wybitniejszy pisarz, tym bardziej odczuwamy niedosyt wiedzy o nim. I może tak być powinno, gdyż brak „pełni” zmusza nas do wypełnienia z pomocą wyobraźni i jego dzieła i jego życia.

*) „Wspomnienia o Zofii Nałkowskiej” — Czytelnik, 1965, s. 348, cena zł 40.—.

KTO DZIŚ PISZE FELIETONY?

Pisać felieton to tyle, co zakrecać łożek na łysinie.

KARL KRAUS

Prawie jednocześnie znalazły się na moim biurku dwie książki: „Warszawska niedziela” Władysława Kopalińskiego i „Klassiker des Feuilletons” w wyborze i z posłowiem Hansa Bendera, Władysława Kopalińskiego. Pisały stale w „Życiu Warszawy”, dokonał wyboru swoich felietonów z lat 1957–1964, zaś Hans Bender zebrał w swojej antologii najcenniejsze felietony różnych autorów z różnych lat z niemieckiego obszaru językowego. Są to więc felietonistów dziewiętnastowieczni i współcześni, szwajcarscy, austriaccy i niemieccy, których dorobek nie zwierzał i dziś jeszcze daje się czytać z przyjemnością. W posłowie Hans Bender kreśli historię felietonu, zastanawia się nad zdefiniowaniem tego gatunku dziennikarsko-literackiego, przywołuje na pamięć nazwiska wybitnych felietonistów europejskich. Wśród uwzględnionych przez Bendera felietonistów, znajdujemy wiedeńską Ferdynanda Kürnera (1823–1879), który prowadził niesłychanie czynne życie, m. in. brał udział w powstaniu 1848 roku najpierw w Wiedniu, potem w Dreźnie, dziewięć miesięcy przeżywał w kryminalu, a w felietonopisarstwie stanowił epokę. Pisał o wszystkich najważniejszych dziełach i wydarzeniach czasu w Austrii, wydał kilka zbiorów książkowych, które wciąż jeszcze są czy-

telne. W nadesłanej mi antologii Hans Bender uwzględnił jedną rzecz Kürnera — właśnie pt. „Feuilletoniści”. Otóż Ferdynand Kürner dzieli felietonistów na sześć grup: felietonistów domowych (Feuilletonisten domestici), albo powiedzmy lepiej: felietonistów gabinetowych, których nie obchodziły sprawy życia zewnętrznego (miasto, ulica, świat), którym własne życie wewnętrzne wystarczało do pisania; Feuilletonistów forensis, czyli felietonistów łazików, felietonistów miejskich, czerpiących tematy z obserwacji życia ulicy; Feuilletonistów nobilitacji, po prostu felietonistów salonowych; Feuilletonistów restauracji — felietonistów z upodobaniem przesiadujących w knajpach i tam szukających inspiracji pisarskiej; Feuilletonistów tenebrosus, czyli lubiących przyrodę, las i o nich piszących najczęściej; i wreszcie Feuilletonistów aequilivocus, felietonistów socjalnych, którym najbliższe są, jako tematy ich prac, problemy społeczne.

Ta na polu zabawna klasyfikacja nie jest tak zupełnie pozbawiona głębszego sensu. Gdyby w świetle tego podziału chciał ułożyć gdzieś Władysław Kopaliński, to musiałby umieścić go jednocześnie wśród felietonistów miejskich i socjalnych. Wybor „Warszawska niedziela” mówi wyraźnie, że chodzi tu o felietony związane z Warszawą, a więc z miastem i życiem jego mieszkańców. Są ludzie, którzy niedzielne „Życie Warszawy” kupują jedynie po to, by przeczytać w

nim dwa felietony: Jarosława Iwaszkiewicza i Władysława Kopalińskiego. Tak jak niegdyś, przed rokiem 1939, kupowało się niedzielne wydanie „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” (Ikara) przede wszystkim dlatego, że drukował tam swoje znakomite felietony Zdzisław Nowakowski. Po wojnie nie istniejący już dziś „Przegląd Kulturalny” wabił czytelników felietonami Jerzego Putramenta, obecna „Kultura” zawdzięcza swoją wielką popularność felietonom Hamilitona i Krzysztofa Teodora Toeplitza, a „Sztolki” jeszcze do niedawna „stały” felietonami Antoniego Słonimskiego pod niezmiennym tytułem „Zalutwione odmownie”.

Powróćmy jednak do Władysława Kopalińskiego. Jego „Warszawska niedziela” daje nie tylko przekrót twórczości felietonowej autora, jest ona również w jakiejś mierze kroniką stolicy, jej rozwoju i przeróżnych spraw i kłopotów. Powiernikiem i towarzyszem Kopalińskiego jest niejaki Idzi, przewijający się jako bohater przez wiele kart „Warszawskiej niedzieli”. Idzi nie jest jednak człowiekiem z ludu, warszawiakiem z Woli czy Powiśla. Idzi to typowy inteligent, człowiek światły i wykształcony, ale zarazem nie pozbawiony tzw. zdrowego rozsądku. Obok Walerego Wątróbskiego Włocha jest to drugi, ożywiony mocą pióra felietonisty, komentator i sądziwy wydarzeń współczesnego życia, głównie życia stolicy.

Rozpiętość tematyczna felietonów Kopalińskiego jest wcale nie mała. Interesują go problemy rozbudowy i odbudowy stolicy, włącza się w dyskusje o pomnikach, dotrafił coś ciekawego powiedzieć w związku z odbywającym się festiwalem muzyki nowoczesnej, absorbuje go obyczaj, historia i teraźniejszość kultura i literatura. Mówi się, że pisanie felietonu nie jest w naszych czasach łatwe. Felietonista pisze przecież na własny rachunek, wygłasza własne, niezgodzone z nikim poglądy. Sadzę, że największą trudność polega na tym, aby mieć własne poglądy i mieć odwagę je głosić. Do pewnego pisarza zagrannego przyszedł młody dziennikarz po wywiad. Wśród różnych pytań, które zadawał znanemu autorowi, znalazło się i takie: „Co, zdaniem pana, pisarz powinien przede wszystkim umieć, albo jakie posiadać przymioty?” Odpowiedź brzmiała: „Pisarz nie potrzebuje niczego posiadać. Pisarz musi być kimś, czyli mieć coś do powiedzenia o świecie”.

Nie chciałbym tych wysokich miar przykładać do felietonów Kopalińskiego. W każdym razie jest faktem, że ma on coś do powiedzenia i umie to pisać w sposób inteligentny i zajmujący.

Jan Koprzyński



Jerzy Clichecki, Grafika

POLE z książkami

NOVA KSIĄŻKA
PARNICKIEGO

Nie wróć zimowania na półkach księgarskich najnowszej powieści Teodora Parnickiego, która ukazała się nakładem Pax-u — „I u moźnych dziwny”.

Nie tylko dlatego, że wydana została w niezwykle starannej szacie graficznej, ale przede wszystkim z uwagi na urzekającą treść.

W słowie od autora Parnicki wprowadza czytelnika w genetykę narodzin tej niecodziennej konstrukcyjnej powieści.

Stwierdza, że krytyka

literacka, komplementując go niejako, umniejszała jego powieściom ich historyczną wartość, nadawała zaś rangę literatury psychologicznej, filozoficznej etc. „na tej zasadzie, iż powieściopisarstwo historyczne jakoby nie jest literaturą poważną, ale w najlepszym razie młodzieńcowa”.

Autor „Srebrnych Orłów” broni się przed tym „awansowaniem literackim” traktując powieści literackie w dziedzinie powieściopisarstwa historycznego — a więc i swoje własne — jak najpoważniejszą.

„I u moźnych dziwny” jest literacką próbą obrotu tezy, że powieść historyczna zrodzona z następstwa zaangażowania uczuciowego autora w wydarzenia historyczne określonej epoki oraz pogłębiona znajomością odpowiednich dzieł naukowych może stworzyć bogate studium z dziedziny psychologii, filozofii czy estetyki.

Duże znaczenie dla koncepcji powieści „I u moźnych dziwny” — stwier-

dza autor „Słowa i ciała” — mają motywy dumasowskie, a przede wszystkim stendewiczowskie, a posługiwanie się formą „dialogu urojonego” — dzieł, niż w którejkolwiek z poprzednich jego pozycji mogłoby nadawać charakter powieści raczej historyczno-fantastycznej, niż historycznej.

Z. C.

Teodor Parnicki: „I u moźnych dziwny”, Instytut Wydawniczy Pax — 1965 r. Cena zł 45.

Z KANADYJSKIEJ
PUZZY

„Iskry” zaprezentowały nam następny z niezwykłej udanej serii „Naokoło Świata” reportaż-przygodę w książce pt. „Nad rzeką bobrow”. Reportaż tym ciekawszy, że pisany ręką człowieka, którego styk z kanadyjską puszcza liczył się nie na tygodnie czy miesiące, ale lata całe. Trzydziestu lat spędzonych w najbardziej na zachód wysuniętej prowincji Kanady, w twardej walce z dziką przyrodą tych stron,

na spotkaniach z niedźwiedziem, szarżującym łosiem-Zabójcą, czterolatniej „wojnie” z wilkiem-Mordercą, ucieczce z płożącego lasu...

Czy wlecie, jakimś drogami chadza łos-samotnik, jak łowi w sidła pizmałki, albo czym nawozić jałową ziemię karczowiska?

Jeśli nawet styśnięcie o niezwykłe przemysłowym budownictwem tam i grobil — bobrze, to warto do prawdy raz jeszcze dać się poprowadzić Colliera, autorowi tej pasjonującej przygody myśliwskiej do bobrowych żeremi, by wraz z nim stwierdzić, że to uroczyste stworzenie, o wiele pożyteczniejsze jest w wodzie, niż na łąkach i polach — jak próbuje żartować autor-myśliwy.

Czytając tę niezwykłą interesującą książkę zapomina się mimo woli, kto jest jej bohaterem: kanadyjską, siwową, a przecież przeuroczą puszcza wabiącą tupotem łosi, krzykiem dzikiego ptactwa, baraszkowaniem bobrów w żeremiach — czy człowiekiem, który wrósł w nią i przy-

swolił sobie jej najsurowsze prawa.

Z. C.

Erie Collier — „Nad rzeką bobrów”. Państwowe Wydawnictwo „Iskry” — Warszawa — 1965 r. Tytuł: Zofia Zinslerling. Cena zł 22.

TRAMPCZYŃSKI
DLA MŁODZIEŻY

Dziewiąte już wydanie „Pisego Pola” — Włodzimierza Trampczyńskiego jest najlepszym świadectwem poczynności tego popularnego dziennikarza, publicysty i tłumacza. Trampczyński, urodzony w 1899 r. w Wielkim Księstwie Poznańskim, wykształcony w Poznaniu, zajmował się początkowo księgarstwem.

Pisać zaczął stosunkowo wcześnie, bo już w 1931 r., współpracując z szeregiem pism takich, jak: „Dziennik Łódzki”, „Przegląd Tygodniowy”, „Tygodnik Ilustrowany” i wieloma innymi.

Ale Trampczyński jest przede wszystkim autorem szeregu powieści współczesnych, nowel oraz po-

wieści dla dzieci i młodzieży.

Wielokrotnie wznowienie nakładu „Pisego Pola” stanowi niewątpliwie również dowód stałego zainteresowania młodego czytelnika tematyką historyczną.

Czas panowania Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, intrygi wojewody Ścieciecha, burzliwe dzieje syna królewskiego, Zbigniewa, zakoncone haniebną zdradą kraju, wreszcie stosunki Polski z Niemcami do czasu sławnej bitwy na Psim Polu pod Wrocławiem — oto historyczne tło, na którym autor barwnie maluje losy bohaterów książek — Kruszyński, jego wuj Jarosław, Brzyski Dzierżkowiec, Drobia i Natana spod Świętej Góry.

Ciekawą oprawę graficzną i ilustracyjną dał książce Szymon Kobylński.

Z. C.

Włodzimierz Trampczyński: „Pisę Pole”. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1965 r. Wyd. 9 — Cena zł 17.

JESTEM PROROKIEM

Jak wiadomo (a raczej: jak nie wiadomo, bo acz-

kolwiek wszyscy o tym mówią a nawet piszą, oficjalnej deklaracji prawnej dotąd nie ma) Teatr 7.15 został połączony z Teatrem im. Jaracza, tak więc w sezonie przyszłym przy tej samej ilości scen będziemy mieli w Łodzi o jeden teatr mniej.

Decyzja o połączeniu wywołuje oczywiście rozmaite komentarze i kontrowersje

w sferach zbliżonych do teatru, przy czym — rzecz dla niżej podpisanego poniekąd przykra — wymienia się tajemniczym szeptem coraz to inne nazwisko projektodawcy (— dawców) takowego. Tymczasem — co do sprawdzenia — w „Odgłosach” sprzed czterech lat, dokładnie w numerze z 6 sierpnia 1961 ukazał się arty-

kuł zatytułowany „Brzydkie kaczątko — rzecz o Teatrze 7.15”, w którym pisałem co następuje:

„Podpisując się tedy pod „czystą ideą” stworzenia w Łodzi czegoś w guście estrady satyrycznej, nie sądzę, abyśmy — przynajmniej w najbliższym okresie — mieli po temu środki, że zaś wszystkie teatry ratują w ciągu sezonu kasę wodewilami i muzycznymi komediami, że przybytkiem współczesnego repertuaru jest, i chyba powinna być, Mała Sala Teatru Nowego, przeto daremnie rozdrapuję sobie mózg w poszukiwaniu takiej repertuarowej formuły, która by naszemu brzydkiemu kaczątku pozwoliła przeobrazić się w labędzia.

Przeto ze smutną świadomością, że kładę głowę pod topór, pragnę zapytać: co sądzicie o eutanazji? Czy „dobroćliwa śmierć” tej nie zbyt wydarzonej sceny, rozumiem zresztą wcale nie do słownictwa, bo jako połączenie z jakimś innym, większym teatrem, nie byłaby czymś w rodzaju idealnego wyjścia z sytuacji? Iż to lat wreszcie mamy na coś, czego nie potrafimy sobie nawet teoretycznie wyobrazić, czekać i liczyć nie wypady?

W dodatku, jeżeli chcemy składowki, takie połączenie może wyjść jedynie na dobre samej idei, w każdym bowiem teatrze znajdziemy paru bodaj aktorów, którzy mają czego szukać na estradzie — ot, w Teatrze im. Jaracza mamy Lenę Wilczyńską, mamy Alicję Krawczykową, mamy paru młodych zdolnych mężczyzn, doskonale — o ile zauważyłem — tańczących...”

Tyle tego. W ostatnim roku przestało się co prawda o formach estradowych mówić, poza tym jednak — nie dodać, nie ująć. Przypomnijcie tedy, o niedobry, że to ja pierwszy (jaaa pierwszy!) zaproponowałem połączenie?! A jeżeli twierdzicie, że nikt o tym nie pamiętał, czy zgodzicie się abym chodząc po kawiarniach pomrukiwał „Jestem prorokiem, jestem prorokiem”? Jest to poniekąd wygodniejsze, albowiem prorok powiedział co swoje i ma z głowy, zaś realny projektodawca w razie nie daj Boże klapy, będzie się musiał sumitować...

KRONIKA



SALATKA WAKACYJNA

Ubiegły tydzień przyniósł nam program w kratkę, w miarę lekki i w miarę poważny, wedle zasady „dla każdego coś miłego”. Wyczuwa się jednak, że i w telewizji daje o sobie znać kanikuła, co raz bardziej zaczyna dominować „salatka wakacyjna”, wyrażająca się w tym, że mamy w programie sporo powtórzeń audycji dawniej zrealizowanych a obecnie przypominanych.

Zaczniemy jednak po kolei. W poniedziałek oglądaliśmy komedię „Imieniny pana dyrektora” Józefa Słowackiego z Januszem Kłosińskim w roli głównej. Komedia ta, która w swoim czasie obiegła wiele scen w Polsce, doczekała się wreszcie prezentacji telewizyjnej. Powiedzmy sobie jednak otwarcie, że jeśli jeszcze kilka lat temu odznaczała się ona pewną świeżością, dziś traci już myślnik, a poruszane problemy wydają się zupełnie marginalne i blade. Mimo to obejrzelismy ją sobie z zainteresowaniem. Komedię w naszym repertuarze i teatralnym i telewizyjnym mało więc dobre i to. Na bezrybiu i rak ryba. Oczywiście kiedy teatr telewizyjny na daje komedię tak już w teatrach wygraną i ograna, musi on liczyć się z tym, że widz będzie porównywał jej wykonanie ze znanymi sobie interpretacjami teatralnymi. Pisząc te słowa widział „Imieniny pana dyrektora” w teatrze warszawskim z Chmielewskim w roli głównej i w Łodzi ze znanym Stanisławem Lapińskim na czele. Janusz Kłosiński jest znakomitym aktorem (ktoś powiedział: lepszym aktorem niż dyrektorem) i również w tej roli awansowanego dyrektora nie zawiodł entuzjastów swego talentu. Wszelako wydaje się, że Stanisław Lapiński był kiedyś lepszym dyrektorem w tej samej sztuce. Mniej krzykliwy, bardziej miękki, elastyczny, o większej sile komizmowej.

W piątek w ramach teatralnego festiwalu telewizyjnego oglądaliśmy „Mazepę” Słowackiego w wykonaniu aktorów Teatru Objazdowego Ziemi Mazowieckiej. Niestety była to impreza nieudana. Do sztuki tego rodzaju potrzeba znakomitych aktorów, inaczej — stajemy się świadkami niezamierzonych efektów, polegających na tym, że w momentach najbardziej dramatycznych mamy ochotę pękać ze śmiechu. Można jedynie ocenić szlachetny wysiłek i dobre intencje Teatru Ziemi Mazowieckiej. Bo samo przedstawienie miało w sobie coś z amatorszczyzny, aktorzy nie zdolali udźwignąć swoich trudnych zadań. Szkoda podwójna: i dla widzów i dla teatru, który z tą imprezą wystąpił.

Wasz sprawozdawca telewizyjny jest namiętym kibicem sportowym. Kiedyś w dawnych latach był oczywiście czynnym sportowcem: grał w piłkę i biegał, boksował się i pływał. Teraz potrafi jedynie kibicować i to przeważnie patrząc w telewizor lub słuchając sprawozdań radiowych. W sobotę i w niedzielę obserwowałem z zainteresowaniem pojedynki lekkoatletyczny Stany Zjednoczone — ZSRR, który odbywał się na stadionie w Kijowie. Mecz ogromnie zajmujący, grały przecież dwie potęgi sportowe świata. Ale tu nasuwa się od razu uwaga natury technicznej. Jeśli warszawska telewizja zdecydowała się na odbiór tej audycji (a dobrze, że się zdecydowała), należało wysłać spikera do Kijowa, aby komentował zawody z miejsca, a nie ze studia w Warszawie. Spiker był taki, że komentator mylił się, popełniał błędy, które następnie poprawiał (złoty i nie). Nie jego w tym wina, lecz wina organizatorów tej audycji u nas. Z ciekawością i niepokojem obserwujemy wszyscy (tzn. my kibice) pojedynek z Amerykanami w Warszawie.

Niedziela w telewizji stała pod znakiem przeszłości. Może w związku z rocznicą wybuchu powstania warszawskiego. Mieliśmy tedy aż dwa filmy o treści okupacyjnej: „W tamte dni” i „Dom na pustkowiu” oraz audycję według scenariusza L. Budreckiego i J. Kanickiego, poświęconą T. Gajcemu, poecie, który zginął w czasie powstania. Mówiąc szczerze i po prostu, audycja w opracowaniu Budreckiego i Kanickiego

była nieciekawa, może dlatego, że wystąpili w niej aktorzy młodzi i nieznani, którzy pięknym i patetycznym wierszem poety nie potrafili nadać odpowiedniego blasku interpretacyjnemu.

A film „Dom na pustkowiu” znudził nas, chyba dlatego, że jest to film stary, wiele już razy widziany. Miejmy nadzieję, że w tygodniu bieżącym będzie trochę lepiej z programem teatralnym i filmowym.

JACEK WIERZBIŃSKI



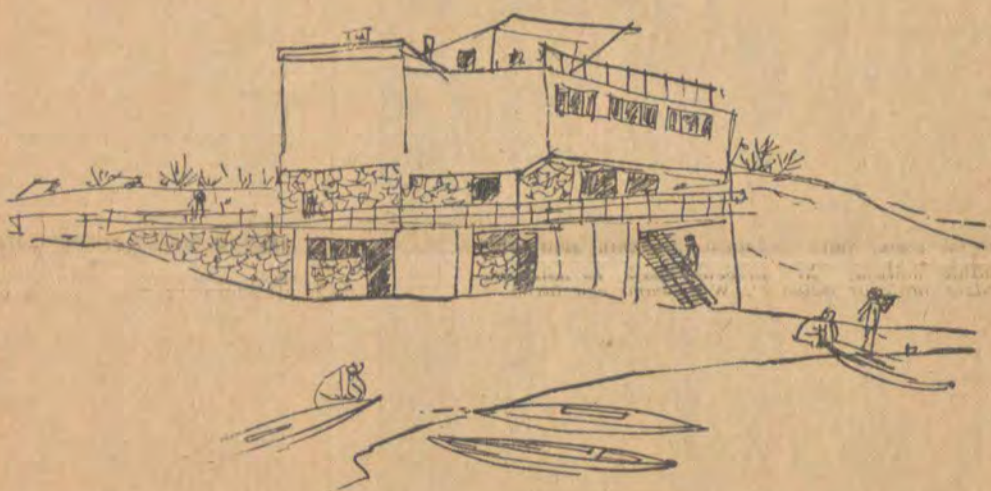
go była nieciekawa, może dlatego, że wystąpili w niej aktorzy młodzi i nieznani, którzy pięknym i patetycznym wierszem poety nie potrafili nadać odpowiedniego blasku interpretacyjnemu.

JACEK WIERZBIŃSKI

Z teki WACŁAWA KONDKA



Sieradz — biblioteka



Działoszyń — przystań

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Najmocniejszą stroną amerykańskiego filmu — „Uroczą gospodyni” jest obsada. Wystarczy wymienić Kim Novak, Jacka Lemmona i Freda Astaira, by mieć pewność, że widownia zapewniona będzie po brzegi. Skoro już mamy tę pewność, nie zaszkodzi parę słów krytyki. Otóż w pierwszych scenach reżyser z powodzeniem nawiązuje do najlepszych wzorów czarnego, angielskiego humoru. Jest w tym wszystkim odpowiedni klimat, napięcie, rewolwerowy strzał i bezwładne nogi trupa, parę dziwnych gestów i ludzi, trochę mgły i metnych podejrzeń. Wobec powyższego — trudno przewidzieć, co właściwie będzie dalej — krymi-

nał, makabreska czy groteska. Przychodzi jednak moment, że wpatliwoci nasze przyskają. Uroczą Kim, zamiast umieścić wieszak na metalowym precie — zahacza nim o ucho ukrytego w szafie Jacka Lemmona, kreującego rolę pracownika ambasady USA w Londynie, i makabreska — wraz z całym napięciem i klimatem — zamienia się, jak pod dotknięciem różdżki czarownika, w szeroką amerykańską komedię, w której zaczyna przeważać tandetny humor sytuacyjny i niepowiązane logicznie z początkiem filmu chwyt „na dreszcz”.

Uroczą gospodyni, zapowiadana zrazu przez twórcę filmu, jako osoba zbrodnica, lub co najmniej dziwna

— przeistacza się nagle w dziewczę cnotliwe i zwykłe. Domniemyamy szkielet jej męża pojawia się w powłoce cielesnej na dwie minuty, aby paść po chwili od kuli przypadku, na co — z braku lepszego pomysłu — scenarzysta z reżyserem reaguja ponownym zwróceniem podejrzeń na osobę Kim. Przestaje to, oczywiście, być interesujące i zabawne. Widz jest rozczarowany brakiem konsekwentnego wytłumaczenia emocjonalnych zdarzeń z ekspozycji oraz budowaną na siłę — przynajmniej od połowy filmu — fabułą. Fakty doczepione do głównego wątku bez najmniejszej troski o logikę — pozwalają traktować „Uroczą gospodyni” jako filmową antyopowieść, w której nie nie

powinno widza zdziwić — żadne więc z zestawień kompozycyjnych, ani też najbardziej proste, pozbawione jakiegokolwiek pojęcia zakończenie. W dziedzinie wesolej makabry prym bez wątpienia bierze Anglię. Gatunek to, widać, frapujący, skoro sięgają po Amerykanów i Francuzów. Gatunek to, również, mocno wyeksploatowany. Wszak od dłuższego czasu brak na ekranach — angielskich komedii z dreszczykiem (ostatnią chyba był „Kasirarz”, dużo już gorzej niż poprzednie z Alekiem Gunnem). Widać Brytyjczycy uważają, że już dość...

A. M.



Pusta, monumentalna sala Amerykańskiego Związku Muzyków zamienia się — wraz z końcem czołówki filmu — w gieldę. Rozwrzeszczane, podniecone setki nowojorskich klezmerów zażarcie walczą o pracę, a wyróżnia się wśród nich tupetem i sprytem dwudziestowieczny Rock. Stawka jest jednorazowa: echałtura na chrzcinach, w selu lub zabawie. Rock — flingując obłudnie nadmiar propozycji i pieniędzy — zdobywa pierwszy angaż, w chwili jednak, gdy szykuje się do następnego natarcia...

Dziewczyna spada na niego zienaczkę. Zaskoczony Rock z trudem kojarzy Angie — tak bowiem dziewczynę

na imię — z jakimś przypadkowym romansem. Wiedomość że zaszła z ciążą, przynajmniej Rock beztrako, z niewinnym wdziękiem, na co ambitna Angie reaguje gniewnie — nie chce już od chłopaka pomocy — wybiega z zatłoczonej sali. Ponieważ w tym momencie zawiązuje się akcja „Romansu z nieznajomym” Rock go, oczywiście, dziewczynę, gotów pomóc, to znaczy poszukać odpowiedniego lekarza...

Zafatowany przez pośrednika lekarz okazuje się w dalszych sekwencjach starucha o podejrzanej aparycji, mającą dokonać zabiegu w opuszczonym, ponurym pokoju. Rock, który w trakcie rozwoju wypadków zapalał do

dziewczyny sympatią — wyrzyna ją, w wyniku nagłej decyzji, z rak znachorki. Nspotyka przy tym na opór Angie. Po raz drugi spotkał się z jej oporem podczas oficjalnych, dokonanych w obecności ojca dziewczyny oświadczeń...

Z zachowania Angie wynika, iż młody muzyk nie jest jej objętny, ale przeraża ją, ze ich małżeństwo ma być konsekwencją jakiegoś tam małoważnego „przypadku”. Angie chce mieć szansę wyboru partnera — to jej generalne założenie. Drżni ją także myśl, że Rock się poświęca i gdyby nie presja ciąża... Postanawia więc wydać się (z własnego wyboru) za podtatustego pana. Co dalej —

przekonacie się sami. Warto! W rolach głównych doskonalili: Natalia Wood i Steve Mc Quinn (partner Brinnera z „Siedmiu wspólnych”) — para niezwykle sympatyczna, obdarzona wielkim wdziękiem. Znajdziemy tu również wiele ciekawych obserwacji obyczajowych, nieco amerykańskiej dultystyczności, nieco rękawic panoramy Nowego Jorku i waskich załusków z obiektywem na słum się. Wszystko to jest godne konsumpcji tym bardziej, iż warsztat reżyserski Roberta Mulligana funkcjonuje bez zarzutu.

A. M.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

W Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej zakończyły się egzaminy wstępne. Przyjęto łącznie 50 osób. Wkrótce zacznie się nowy, pracowity rok akademicki.

O PWSM piszę ze szczególną sympatią. Jest to jedna z najmniej reklamowanych łódzkich placówek naukowych i artystycznych, która spełnia jednak ogromną rolę w życiu kulturalnym naszego miasta. Będziemy się starali informować na bieżąco o jej inicjatywach. Dziś chciałbym wspomnieć tylko o działalności Studenckiego Koła Naukowego przy PWSM. Jest to jedna z najwyższych tego rodzaju organizacji. Na terenie uczelni przynajmniej raz w tygodniu organizu-

je koncerty, odczyty, sesje naukowe. Ma już bardzo poważny dorobek. W ubiegłym roku akademicznie n.p. zorganizowano cykl koncertów, na których można było usłyszeć wszystkie preludia i fugi „Das Wohltemperirte Klavier” J. S. Bacha, dzięki ich inicjatywie wystąpił w Łodzi słynny w całej Europie krakowski zespół muzyczny eksperymentalnej „M.W. - 2”.

Poza działalnością na terenie uczelni SKN prowadzi szeroką akcję popularyzatorską. Występuje z koncertami w różnych rodzajach świetlicach i bibliotekach rejonowych. I, proszę sobie wyobrazić, wszystko to odbywa się w ramach pracy społecznej.

WTOREK

Łodź w miesiącu sierpnia roku pańskiego 1965 brodzi w płaskich pustyni kulturalnej, jaką stało się nasze miasto. Spróbujcie państwo wyobrazić sobie do teatru! Wszystkie oczywiście nieczynne. Dlaczego? Niejednokrotnie już domagałem się, by choć jeden dobry teatr był stale gotów dać mieszkańcom naszego miasta dobrą rozrywkę przez wszystkie letnie wieczory. Niestety. Postanowiono łączyć zmusić do „odpoczywania” po całonocnych trudach zajmowania się sztuką teatralną.

Zresztą jest w tym dużo racji. Pogoda raczej nie sprzyja — nie można więc trzusić ciała i umysłu wycieczkami poza miasto. Znajomi przeżegnali powyżej dach na urlopie — co za rozkosz, nareszcie trochę samotności. Nie trzeba przyznawać ani składać wizyt. Można sobie pochodzić do kina i przez dwa tygodnie obejrzeć po dwa razy wszystkie, nawet najgorsze filmy. Najprzejmniejsi jednak siedzieć przy oknie i marzyć, że przecież kiedyś włoży się nieskazitelnie białą koszulę i pójdzie się... do teatru.

ŚRODA

W poszukiwaniu tzw. kulturalnych rozrywek zabłądziłem do Łódzkiego Domu Kultury. Wózny zatrzymał mnie na samym progu:

- Pan do kogo?
- Chciałbym posłu-

CZWARTEK

Brak rozrywki zmusza często do poważnych rozmyślań. Postanowiłem więc wstąpić do księgarni i kupić jakąś książkę. Ukazał się właśnie trzeci tom „Bibliografii literatury polskiej” (tzw. „Nowy Korbut”). Jest okazja popracować naukowo. Kupiłem tę piękną, wydaną książkę i z ciekawością zajrzałem do środka. Wydawnictwo ze wszelkich miar imponujące. Świetnie opracowane biografie pisarzy polskich, obszerne bibliografie przedmiotowe i podmiotowe. Wszystko to dopiero wadzone do roku 1962. Naprawdę przyjemnie zanurzyć się w sferach książek i czasopiśm mających za przewodnika „No-

wego Korbuta”. Wprost rarytas dla miłośników literatury.

Jednak nie mogę powstrzymać się od sceptycyzmu. Całość wydawnictwa ma objąć 21 tomów. Dotychczas ukazały się tylko trzy. Obliczłem sobie, że każdy następny (po pierwszym) tom, ukazuje się mniej więcej po dziesięciu miesięcznych przerwach. Z takich rachunków wynika, że ostatni tom ukaze się za lat 15 (słownie piętnaście). Całe wydawnictwo będzie więc już porządnie przestarzałe. Trzeba będzie od razu myśleć o wznowieniu i uzupełnieniu.

PIĄTEK

Wspominaliśmy już w naszym Notatniku o wystawie „Człowiek współczesny”. Dziś kilka słów o grafice. Poziom reprezentowany w tej dziedzinie plastyki, jest na pewno lepszy od prac z grupy obrazów olejnych. Pierwsze nagrody zdobył Henryk Pióciennik i Leszek Różga. Prace ich są bezspornie najlepsze. Doskonale cynkografia — „Nasz wiek dwudziesty” H. Pióciennika, „Bezmiar” — akwaforta

SOBOTA

Łódź jest dziwnym miastem. Poziomymi imprezami jest często wprost straszny, obok tego istnieje u nas wiele placówek, których pozazdrościć nam może nawet Warszawa. Wysoki poziom kultury współczesnej obok najgorszej szmery. Mało kto zapewne wie, że galeria sztuki

współczesnej w Łódzkiej Muzeum jest jedną z najlepszych w Polsce. W najbliższej pięciolatce przybędzie nam jeszcze jeden sensacyjny przybytek sztuki. Będzie nim muzeum filmu. Pomysł doskonały, godny jak najszybszej realizacji.

NIEDZIELA

Niech państwo uważnie obejrzą dwie nowe monety dziesięciocentowe, które właśnie weszły w obieg. Jedna przedstawia kolumnę Zygmunta, druga „Nike”. Nareszcie i w tej dzie-

dzinie zerwaliśmy z szablonem. Pieniądz ma nie tylko wartość nabywczą, ale i estetyczną. Od tej chwili można nie tylko robić ciężkie pieniądze, ale i ładne.

AMMIANUS



W ROKU BIEŻĄCYM obchodzona jest na całym świecie 700-letnia rocznica urodzin Dantego, którego sława szerzy się zaczyna na całym świecie jeszcze z jego życia i nigdy nie wygasa. Dante urodził się we Florencji, mieście Ghibelinów, na którym ciążyła ekskomunika papieża. O władzę nad tym bogatym miastem ubiegali się zarówno stronicy cesarza, Ghiblini, jak i jego wrogo-

wie — Gwelfowie, zwolennicy papieża. Ojciec Dantego Alighieri zajmował się, jak wieść głosi, lichwą i zamieszkiwał w biednej części miasta, wśród „popolo di San Martino del Vescovo”. Dante stracił matkę, gdy miał lat sześć, a ojca, gdy miał lat dwanaście. Po-tem opiekowała się nim macocha, która bożyła na wychowanie jego i własnych dzieci z pozostawionego po ojcu majątku. Gdy Dante miał lat

dziewięć, w domu sąsiadów spotkał swą różnicę — Beatrycze Portinari, którą ponownie zobaczył dopiero po latach — dziewięć — również przelotnie. Miłość do niej stała się impulsem jego bogatej twórczości lirycznej, przede wszystkim zaś cyklu sonetów i ballad, na które składał się tom zatytułowany „Vita Nuova”. Powstał on już po śmierci Beatrycze, nie wiedzącej prawdopodobnie nic o uczuciach Dantego.

Dante dedykował swe poezje „poetom wiernym miłości”, specjalnie zaś Guido Cavalcanti, wyznawcy stylu „bolesnego” w poezji, z którym łączyła go głęboka przyjaźń. Przyjaźń ta stała się początkiem powstania nowej szkoły poetyckiej, zwanej „stil nuovo” (nowy styl), który Dante scharakteryzował w następujący sposób: „Należę do tych, którzy piszą, gdy natchnie ich miłość, w sposób, jaki miłość dyktuje”. Pojęcie idealnej wyonilo się w czasach Dantego i było dla niego czymś realnym, nie zaś tylko wyrozumowanym konceptem.

Przez małżeństwo z Gemmą Donati, Dante został spokrewniony z kilkoma wojowniczymi przedstawicielami ówczesnej szlachty florenckiej, z którymi popadł w ostre konflikty. Echa swobodnego życia możemy odczytać i pomiędzy wierszami swawolnych „Canzoniere”, które Dante pisał dla pewnej „kobie-

ty o kamiennym sercu”. Nie miał wówczas żadnych stałych dochodów i choć wstąpił do cechu „lekarzy i farmaceutów”, z pewnością nigdy nie praktykował jako lekarz.

Wkrótce też Dante wpisał się w sieć własnych politycznych. Od roku 1295 począwszy był członkiem rad ludowych Florencji i brał czynny udział w życiu politycznym swego miasta. Pod wpływem przyjaciela, Cavalcantiego, przystąpił do partii „Białych”, pozostających pod dominującym wpływem rodziny Cerchi. Gdy „Czarni” objęli władzę w mieście w roku 1300, Dante oskarżony został o zdradę i wygnany z Toskanii. Następnego roku skazano go na spalenie na stosie, gdyby kiedykolwiek powrócił do republiki florenckiej.

Przez dwadzieścia lat Dante wędrował więc z miasta do miasta przyjmując gościnę na dworach monarchów. W czasie tej tułaczki, gdy już stracił nadzieję powrotu do rodzinnej Florencji, gdzie pozostała jego żona i dzieci, rozpoczął swe wielkie dzieło „Komedie”.

Tułaczka poety zaprowadziła go do Werony, gdzie protektorem jego jest rodzina Della Scala, do Treviso, Padwy, Bolonii, Lukki, i do Francji, gdzie prawdopodobnie przebywał w okresie lat 1308-1310, a także do wielu wielkich i małych dworów, które spiskowały przeciw

republice florenckiej. Wreszcie dotarł i do Rzymu, gdzie zmarł w wieku lat 56.

Boccaccio opisuje Dantego w sposób następujący: „Mniej niż średniego wzrostu, miał podługą twarz z haczykowatym nosem, wystającą wargę dolną, dość okragłą ramioną, duże oczy, ciemną cerę, kręcone włosy i brodę; był zawsze melancholijny i zatopiony w myślach”. Był znany wśród współczesnych jako poeta, który „powrócił z tamtego świata”.

Nie zachowała się do naszych czasów ani jedna linijka napisana ręką Dantego, nawet jego podpis. „Komedie” nazwana tak, ponieważ w przeciwieństwie do tragedii kończy się pogodną nutą w „Raju” — została po raz pierwszy opublikowana w roku 1555 w Wenecji pod tytułem „Boskiej Komedii”, a dodanie epitetu „Divina” było również hołdem dla poety.

Dante napisał po łacinie traktat lingwistyczny „De vulgari eloquentia” oraz „De monarchia”, w którym wyklada swe poglądy na temat stosunków między papieżem i cesarzem. Po włosku napisał niedokończoną „Biesiadę” („Il Convivio”), która miała objąć 14 „canzon”, i komentarze filozoficzne do nich. Najsilniej jednak geniusz Dantego objawia się w „Boskiej Komedii”, która odzwierciedla całe jego życie i całą jego epokę.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Chagall — autoportret

MARC CHAGALL — ostatni z wielkich twórców współczesnej sztuki francuskiej w malarstwie — jest w 78 roku życia jakby nieco usunięty w cień przez Pablo Picassoa, tego najpopularniejszego artystę naszych czasów. Dotyczy to jednak tylko „popularności gazetowej”. W swej pracy twórczej natomiast przeżywa Chagall trwającą od 40 lat zryw, dla którego porównań trzeba by szukać w biografii mistrzów tenesansu.

I tak, że wyliczymy tylko dzieła lat ostatnich, po redekacji sali Paryskiej Opery, pracy wykonanej przez Chagalla w upominku dla ludu Paryża, po wtryśnięciu katedry w Metz i centrum medycznego w Hadassah, wreszcie po fresku witrażowym ku czci Dąga Hamarskjolda, stary mistrz, wciąż w poszukiwaniu nowych dróg, pracując obecnie nad kolejną serią gobelinów. I maluje, maluje, maluje...

Jego wizja świata jest wizją świata już nieistniejącego. Cerkiewki, pejzaży starcy i hasydy, kochankowie, kozy, koguty i błękitne zimnookie

karpie — oto odbłask młodości, Witebska, oto wspomnienie rodziny śle dziarza Segala, który na wet nie snił, że jego syn stanie się jednym z najsławniejszych ludzi naszego wieku.

Ten nieistniejący dziś świat przetrwał w poetycznej wizji Chagalla dzięki pewnemu zapoznaniu z Winawerem — petersburskim adwokatem — który małego żydowskiego chłopca wysłał na studia do Paryża. Przyjeżdżając z Soutine i Modigliani, a wymieniam tylko sąsiadów spod jednego wówczas dachu, nie zaszkodziła odrębności jego talentu. Był zresztą Chagall zawsze diabelnie uparty. W kilka lat później upór ten poróżnił go z Lunaczarskim. Chagall zażądał od niego na 1-majową dekorację Moskwy 50.000 metrów czerwonej tkaniny. Ludzie nie mają koszu — tłumaczył komisarz — jakże może ci dać tyle materiału na dekorację? Chagall, obrazony, zrezygnował z tego przedsięwzięcia.

Nieposkromiony indywidualizm sprawił, iż artystycznie trudno było znaleźć wspólny język z

ludźmi. Października. Zresztą jak sam powiedział, nie zna się na rewolucji, inny był i wówczas jego świat, kiedy po konflikcie z abstrakcjonistą Malewiczem opuścił Związek Radziecki. Nową ojczyznę Chagalla stał się Paryż i tylko na walnica hitlerowska zmusiła go na krótko do ucieczki z ukochanego miasta.

Andre Breton powiedział kiedyś o Chagallu: „Ten człowiek wskrzesił metaforę dla malarstwa. Uczynił to i wciąż to czyni. Bo, jak Chagall mówił sam o sobie — „Po ojcu odziedziczyłem tylko jedno: — pogardę dla beczynności”.

„W PIECU PANUJE TEMPERATURA 1200°”. Podnośnik tętno-wo wypełnia go 250 ciałami, które zmieniają się w popiół w ciągu paru minut. Dysza tłoczona po wietrze wzbogacone w tlen sprawia, że żar od- działa głowy i członki od korpusu, nim jeszcze cia- ła znajdują się na rusz- tach.”

Ten autentyczny fragment prospektu wyrobów pewnej niemieckiej firmy zażądał ostatnio ze sceny teatralnej. Sztuka Wim van Leer, holender- skiego dramaturga pt. „Patent 861 731 zgłoszo- ny”, opowiada o prawdzi- wych dziełach firmy J.A. Topf i Synowie, która w roku 1942 stanęła w obli- czu bankructwa. I oto właśnie w takim momen- cie wpływa do niej za- mówienie od SS na wiel- kie, szybko spalające piece — a wraz z zamówieniem eskorta dopro- wadza do laboratorium więźnia kacetu Izraela Bernsteina, na którym inżynierowie firmy Topf mają wypróbować dzie- ła swego urządzenia.

Sztuka jest wstrząsają- cym oskarżeniem nie tyl- ko systemowi hitlerowskie- go ale i mieszczańskiemu niemieckiej mentalności. Jej autor oświadczył, iż stanowi ona próbę ana- lizy stanów psychicz- nych ludzi godzących się ze zbrodnia i zbrodnię popierających.

„Wszystko w mej sztuce opiera się na fak- tach. Nikt z winnych nie został ukarany. Firma istniała do roku 1963 i w tym czasie ziała się w jedną całość z pew- nym wielkim koncernem. Czy więc możemy nie wierzyć w upiór?”

ANDRÉ MAUROIS ukończył 80 lat życia. Jest on doktorem honoris causa wielu uniwer- sytetów, posiada koman- dorę francuskiej Legii Honorowej, angielski ty- tuł „sir”, jest laureatem nagrody ambasadorów.



Od roku 1933 należy on do francuskiej Akademii „Nieśmiertelnych” jego ulubionym autorem jest Marcel Proust, któremu poświęcił kilka swoich prac.

André Maurois jest sy- nem kupca tekstylnego. Po ukończeniu studiów wstąpił do pracy w przed- siębiorstwie ojca, a litera- turę zaczął uprawiać jako hobby. W czasie pierwszej wojny światowej pełnił rolę tłumacza jako oficer łącznikowy między armiami francus- ką i angielską.

W roku 1923 napisał pierwszą „Biografię roma- nce” o Shelleyu i to dało początek serii jego powieści biograficznych o wielkich ludziach. Na- pisał ich wiele, m.in. o Disraelim, Wolterze, Cha- teaubriandzie, Proustie, George Sand, Chopinie, braciach Dumas i Alek- sandrze Flemingu. Ponad- to jest Maurois autorem- wiele poczytnej powieści „Klimaty”, której na- kład w samej tylko Fra- ncji osiągnął liczbę 260.000 egzemplarzy. „Klimaty” również w Polsce cieszy- ły się ogromnym powo- dzeniem. André Maurois napisał ponadto historie Anglii, historii Stanów Zjednoczonych, wiele książek dla dzieci, kilka zbiorów esejów i parę sztuk scenicznych.

André Maurois to pseu- donim. Właściwe jego nazwisko brzmi: Emile Herzog. O sobie mówi: „Odziedziczyłem usposo- bienie po ojcu, który był trzeźwy, delikatny i wsty- dliwy”.





Przedstawiam
Państwu
opowiadanie
którego nie
pozwolili mi
zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

Paul Santin jechał szybko samochodem starając się dojechać do domu przed północą. Był zmęczony, spięty i z trudem zwalczał ogarniającą go obojętność. Nie drzemał jednak; panował nad kierownicą i dokładnie wiedział co robi.

Kilka samochodów przemknęło z szosą i w tej chwili droga wydawała się opustoszała. Dlatego właśnie zdecydował się wtedy wrócić.

Nagle zauważył tamten samochód. Najpierw dał znać o sobie parą reflektorów rzucających ostre światło spoza zakrętu oddalonego o około ćwierć milii. Blask był niezwykle jasny.

Kierowca zapomniał niewątpliwie o konieczności przytłumienia świateł. Santin zamrugał kilka przekleństw pod nosem. Skreślił własne światła, lecz nie spókniął się z żadnym odzwieciem. Zaklął powtórnie i przełączył reflektory z powrotem na światła szosowe. Nie wycofał się w tym poważniejszego niebezpieczeństwa.

Po chwili jednak zaczął rozumieć, że tamten samochód pędzi w jego kierunku z wielką szybkością. Zbyt wielką jak na ten rodzaj drogi. Mechanicznym ruchem zdjął nogę z gazu i z całym wysiłkiem starał się utrzymać wóz na swojej pochyłej drodze oraz nie patrzeć w oslepiający blask.

Było już za późno, gdy zdał sobie sprawę, że tamten samochód przepycha się samym środkiem drogi. Musiał podjąć decyzję: pozostawało albo skrócić w prawo, ładując zapewne kołami do góry, lub licząc, że tamten usunie się na bok, zaryzykować otarcie bokami samochodów, więc zetknięcie się zwinem i ziemią.

Santin wybrał to drugie, lecz niedostatecznie szybko. Spóźnił się, że tamten samochód nie miał zamiaru ustąpić ani na cal. Gwałtownie skreślił w prawo. Potężne uderzenie przebiegło po kole i tylnym błotniku jego samochodu. Cały wóz obrócił się na szosie i zdawał się przeciwdziałać prawu grawitacji. Pociągnięto się bokiem i wysprzątnął w powietrze wyrzucając Santina ze swego wnętrza.

Nie widział ani nie słyszał ostatecznego drugiego maszynowego. Cała jego trzeźwość pojmowania skupiła się na uderzeniu ciała o pochyłość pagórka, który wyskoczył mu na przeciw jak twardy mur. Po chwili stoczył się na dół, jakby w miniaturowej lawinie małych kamieni i lepkiej gliny.

Oślepienie światła zniknęło. Leżał na plecach wśród kępek zielska i chwastów. Ponad nim świeciły gwiazdy i księżyc. Wydawały mu się bliższe niż kiedykolwiek. Być może, iż to właśnie złudzenie optyczne, pierwsze przywiodło mu myśl o czekającej go śmierci.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

C. B. GILFORD

PRZERAŻENIE

— Nie ma go tutaj. — Był to męski, młody głos. Tamten samochód też był na pewno uszkodzony. W każdym razie ludzie z niego, kimkolwiek byli, wrócili do jego samochodu i teraz go szukają. Czy w celu udzielenia pomocy?

W pierwszym odruchu chciał zawołać i sprowadzić ich do miejsca, gdzie leżał. Był samolubnie zagarniając drogę wyłącznie dla siebie, lecz teraz okazał się współczujący, pragnął nieść pomoc. Instynkt podszepnął jednak wątpliwość. Czy na pewno okaza się przyjaźni. Nagle odczuł przed nim przerażenie. Sam nie wiedział — dlaczego? Ostatecznie wszyscy niosą pomoc ofiarom wypadku prawda?

— Na pewno został wyrzucony — odpowiedział dziewczęcy głos.

— Też mi się tak wydaje. — powiedział to ten sam męski głos. Santin zrozumiał więc, że jest ich tylko dwoje.

— Szukaj go! — powiedziała dziewczyna.

Chwila wahania. — Nie chcę wiedzieć co mu się stało... albo je?

— Nie wiem. — Zadrżał męski głos. — Nie wiem.

— Myślę, że powinniśmy rozjeżdżać się i poszukać.

— Okey... Ciężko tu jednak. — Masy, przecież latarki.

— Oczywiście. Zaraz ją przyniosę.

Słuchał było kroki chłopaka wracającego do samochodu.

Po chwili znowu zaległa cisza.

Santin czekał drżąc w napięciu. Był zmęczony, spięty i z trudem zwalczał ogarniającą go obojętność. Nie drzemał jednak; panował nad kierownicą i dokładnie wiedział co robi.

Kilka samochodów przemknęło z szosą i w tej chwili droga wydawała się opustoszała. Dlatego właśnie zdecydował się wtedy wrócić.

Nagle zauważył tamten samochód. Najpierw dał znać o sobie parą reflektorów rzucających ostre światło spoza zakrętu oddalonego o około ćwierć milii. Blask był niezwykle jasny.

Kierowca zapomniał niewątpliwie o konieczności przytłumienia świateł. Santin zamrugał kilka przekleństw pod nosem. Skreślił własne światła, lecz nie spókniął się z żadnym odzwieciem. Zaklął powtórnie i przełączył reflektory z powrotem na światła szosowe. Nie wycofał się w tym poważniejszego niebezpieczeństwa.

Po chwili jednak zaczął rozumieć, że tamten samochód pędzi w jego kierunku z wielką szybkością. Zbyt wielką jak na ten rodzaj drogi. Mechanicznym ruchem zdjął nogę z gazu i z całym wysiłkiem starał się utrzymać wóz na swojej pochyłej drodze oraz nie patrzeć w oslepiający blask.

Było już za późno, gdy zdał sobie sprawę, że tamten samochód przepycha się samym środkiem drogi. Musiał podjąć decyzję: pozostawało albo skrócić w prawo, ładując zapewne kołami do góry, lub licząc, że tamten usunie się na bok, zaryzykować otarcie bokami samochodów, więc zetknięcie się zwinem i ziemią.

Santin wybrał to drugie, lecz niedostatecznie szybko. Spóźnił się, że tamten samochód nie miał zamiaru ustąpić ani na cal. Gwałtownie skreślił w prawo. Potężne uderzenie przebiegło po kole i tylnym błotniku jego samochodu. Cały wóz obrócił się na szosie i zdawał się przeciwdziałać prawu grawitacji. Pociągnięto się bokiem i wysprzątnął w powietrze wyrzucając Santina ze swego wnętrza.

Nie widział ani nie słyszał ostatecznego drugiego maszynowego. Cała jego trzeźwość pojmowania skupiła się na uderzeniu ciała o pochyłość pagórka, który wyskoczył mu na przeciw jak twardy mur. Po chwili stoczył się na dół, jakby w miniaturowej lawinie małych kamieni i lepkiej gliny.

Oślepienie światła zniknęło. Leżał na plecach wśród kępek zielska i chwastów. Ponad nim świeciły gwiazdy i księżyc. Wydawały mu się bliższe niż kiedykolwiek. Być może, iż to właśnie złudzenie optyczne, pierwsze przywiodło mu myśl o czekającej go śmierci.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Wtedy właśnie usłyszał głosy, które przywróciły mu kontakt ze światem. W tamtym samochodzie byli przecież ludzie. Myślał o nich spokojnie, bez złości i bez sympatii. Całą jednak uwagę skupił na nadstawianiu.

Byli zaskoczeni. Zobaczyli jak spojrzeli na siebie a później znowu na niego.

— Co chciał Pan przez to powiedzieć — zapytał chłopak. — Ten wypadek był z pańskiej winy. To chciałem powie-

dzieć. — Santin w dalszym ciągu nie czuł zdenerwowania, ale uważał, że winę trzeba ustalić.

— Dlaczego z mojej? — Po pierwsze, nie przygasił Pan światła... — Pan też nie.

— Początkowo to zrobiłem. — Przełączył Pan jednak z powrotem na szosowe.

— Dopiero wtedy, gdy Pan odmówił przystąpienia.

Chłopak zamilkł na chwilę i zaraz dodał. — Kiedy zderzyliśmy się, był Pan jednak na pełnych światłach.

Santin musiał się z tym zgodzić. — Byłem wściekły — powiedział. — Lecz nie to jest sprawą najważniejszą. Pan jednak miał swoją stronę drogi.

Chłopak zwrócił się do dziewczyny: — Arlene, czy byłam po jego stronie?

Dziewczyna zachichotała. — Skąd mam wiedzieć. Przecież myślimy...

Nie skończyła, lecz Santin domyślił się reszty. Niewątpliwie, migdałki się odrabiali pieczęty lub coś w tym rodzaju. To było przyczyną niewygaszenia światła i złego prowadzenia. A teraz on, Santin, musiał płacić za to życie drogie.

— Tak więc był Pan po złej stronie drogi i to Pańska wina.

Chłopak słuchał go, lecz spojrzał na dziewczynę.

— Co oni mi robią, — spytał. — Myślę o policji; co oni mi robią?

— Skąd mogę wiedzieć rzuciła krotko.

Nawet jeśli byłam po złej stronie drogi, to ciągle jeszcze chodził jedynie o wypadek. Nie chciałem go przecież zabić — rezonował chłopak — Ostatecznie jeśli wezmą mnie do więzienia, to przecież nie na długo, prawda Arlene? Jak myślisz, ile dostanę? Trzydzieści dni?

Gdyby sześćdziesiąt, nie byłoby źle...

Santin przystłuchiwał się, po woli zbierał w nim gniew. A może dziewczędziesiąt dni, dodał w myśl. Dziewięćdziesiąt dni za morderstwo.

Chłopak słuchał go, lecz spojrzał na dziewczynę.

— Co oni mi robią, — spytał. — Myślę o policji; co oni mi robią?

— Skąd mogę wiedzieć rzuciła krotko.

Nawet jeśli byłam po złej stronie drogi, to ciągle jeszcze chodził jedynie o wypadek. Nie chciałem go przecież zabić — rezonował chłopak — Ostatecznie jeśli wezmą mnie do więzienia, to przecież nie na długo, prawda Arlene? Jak myślisz, ile dostanę? Trzydzieści dni?

Gdyby sześćdziesiąt, nie byłoby źle...

Santin przystłuchiwał się, po woli zbierał w nim gniew. A może dziewczędziesiąt dni, dodał w myśl. Dziewięćdziesiąt dni za morderstwo.

Chłopak słuchał go, lecz spojrzał na dziewczynę.

— Co oni mi robią, — spytał. — Myślę o policji; co oni mi robią?

— Skąd mogę wiedzieć rzuciła krotko.

Nawet jeśli byłam po złej stronie drogi, to ciągle jeszcze chodził jedynie o wypadek. Nie chciałem go przecież zabić — rezonował chłopak — Ostatecznie jeśli wezmą mnie do więzienia, to przecież nie na długo, prawda Arlene? Jak myślisz, ile dostanę? Trzydzieści dni?

Gdyby sześćdziesiąt, nie byłoby źle...

Santin przystłuchiwał się, po woli zbierał w nim gniew. A może dziewczędziesiąt dni, dodał w myśl. Dziewięćdziesiąt dni za morderstwo.

Chłopak słuchał go, lecz spojrzał na dziewczynę.

— Co oni mi robią, — spytał. — Myślę o policji; co oni mi robią?

— Skąd mogę wiedzieć rzuciła krotko.

Nawet jeśli byłam po złej stronie drogi, to ciągle jeszcze chodził jedynie o wypadek. Nie chciałem go przecież zabić — rezonował chłopak — Ostatecznie jeśli wezmą mnie do więzienia, to przecież nie na długo, prawda Arlene? Jak myślisz, ile dostanę? Trzydzieści dni?

Gdyby sześćdziesiąt, nie byłoby źle...

Santin przystłuchiwał się, po woli zbierał w nim gniew. A może dziewczędziesiąt dni, dodał w myśl. Dziewięćdziesiąt dni za morderstwo.

Chłopak słuchał go, lecz spojrzał na dziewczynę.

— Co oni mi robią, — spytał. — Myślę o policji; co oni mi robią?

— Skąd mogę wiedzieć rzuciła krotko.

Nawet jeśli byłam po złej stronie drogi, to ciągle jeszcze chodził jedynie o wypadek. Nie chciałem go przecież zabić — rezonował chłopak — Ostatecznie jeśli wezmą mnie do więzienia, to przecież nie na długo, prawda Arlene? Jak myślisz, ile dostanę? Trzydzieści dni?

Gdyby sześćdziesiąt, nie byłoby źle...

Santin przystłuchiwał się, po woli zbierał w nim gniew. A może dziewczędziesiąt dni, dodał w myśl. Dziewięćdziesiąt dni za morderstwo.

Chłopak słuchał go, lecz spojrzał na dziewczynę.

— Co oni mi robią, — spytał. — Myślę o policji; co oni mi robią?

— Skąd mogę wiedzieć rzuciła krotko.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedział nagle chłopak.

— Jaka?

— Stwierdza że to był wypadek. Niech będzie nawet że z mojej winy, ale wypadek. Chyba, że ten facet wszystko wygada.

— To znaczy?

— Ze powie, kto przygasił światła, a kto nie i kto był po czyjej stronie drogi. Oczywiście nie zrobi tego tylko wtedy gdy będzie nieżywy.

— To prawda. — Głos dziewczyny zabrzmiał nagle dziwnie.

— Tak więc musi być martwy. Rozumiesz o co mi chodzi, Arlene?

— Sam powiedział, że jest umierający...

— Tak, lecz nie wie tego na pewno. My również nie wiemy. A on musi umrzeć. Trzeba abyśmy byli tego pewni.

— Głos chłopca wzmożł się nagle, aż do granic hysterii.

Santin widział jak dziewczyna chwyciła kurczowo ramię chłopaka i spojrzła mu w oczy. Cała jej postawa wyrażała strach.

— Jest jeszcze jedna sprawa. Płaci się większe odszkodowanie za faceta, który jest kaleką niż za zmarłego. Jeśli ten gość nie umrze a będzie tylko połamany, może to znacznie więcej wynieść niż ubezpieczenie, które posiadamy. Człowieku, nie chcę nawet myśleć o mojej ojciec by mi wtedy zrobił.

Nagle chłopak schylił się i światłem latarki zaczął uważnie wodzić po twarzy Santina. Pomimo blasku, można było

zobaczyć jego twarz. Był młody, lecz nie tak opanowany jak dziewczyna. Jego także nie ominęła rana. Lewą stroną głowy przebiegało wyraźne rozcięcie a krew pokrywała włosy.

— Jak się Pan czuje — zapytał chłopak.

Santin stłumił odpowiedź. Nie dał im znowu tej satysfakcji. Nie powie, że właśnie słyszy w uchu szept śmierci, zachęcającej do opuszczenia życia. Nagle poczuł, że traci przytomność.

Dziewczyna krzyknęła. Chłopak musiał go widocznie pochnąć.

— Co robisz? — zawołała.

Chłopak niemal krzyknął w odpowiedzi: — On musi umrzeć. Muszę doprowadzić do tego, aby umarł.

— Nie możesz go przecież zabić. — W głosie dziewczyny słychać było nutę uczuciowości; a może po prostu zwykłej, ko-

blecej łagodności. — Co za różnica. — Chłopak dowodził historycznie: — Przecież już go zabiliśmy. Tyle, że umrze szybciej. Nie rozumiesz tego? Nikt nie pozna. Pomyślał że stało się to w wyniku wypadku.

— Czy dasz sobie z tym radę, Vince? — zapytała dziewczyna. Głos jej był teraz spokojny. Z chwilą, gdy się zdecydowała, była silniejsza z nich dwojga.

— Nie wiem, — odparł chłopak. — Ale muszę spróbować.

— Zaczekaj chwilę, — zawołała dziewczyna. — Jesteś połamany krwią. — Rzeczywiście... — sprawdził chłopak. — Ale, co to ma do rzeczy?

— Jesteś wariat, Vince. Zobacz krew i ktoś może zacząć podejrzewać. Mogą zrobić jakąś krwawą.

— Błysk nadziei sprawił, że Santin otworzył oczy. Chłopak stał pochylony nad nim gotów do działania. Teraz jednak zawa-

żał się. — Wiem co zrobić, — powiedział w końcu.

— Zniknął nagle z pola widzenia, lecz Santin słyszał jak szpera w pobliskich chwastach. Po chwili wykrzyknął:

— Arlene, przyjdź tutaj i pomoż mi to podnieść.

Trzask łamanych krzewów oznajmił, że dziewczyna poszła za nim. Chłopak wyjął podnóżek samochodowy.

— Facet wypadł z samochodu, prawda? W porządku, po prostu uderzył o to główkę. Ułożymy tylko nieco inaczej ciało. Chodź, podniesmy to razem.

Słyszac było odgłosy powracających kroków. Santin nie próbował krzyczeć. Po prostu nie mógł tego głosu słyszeć, gdyż był sparalizowany. Mogł ich jednak obserwować. Szli wolno, z dużym wysiłkiem. Zatrzymali się po obu jego stronach; a wielki, płaski, ciężki przedmiot, który trzymali w rękach zasłonił niebo nad jego twarzą.

Wtedy, w tym ostatecznym momencie swego życia zdał sobie z czegoś sprawę. Przepłynął przez niego jakiś spokój. „I tak miałem umrzeć”, myślał. „W ten sposób będzie szybciej, może nawet bardziej humanitarne. Lecz jest to również morderstwo.”

„Zaczął się modlić, ocmawiając dziwną modlitwę. Modlił się o sprytnego policjanta...”

Sierżant Vanneck ze Stanowej Służby Drogowej był sprytnym policjantem. W szarym świetle poranka studiował uważnie ślady opon na szosie. Na ciemnym asfalcie były one jedwo widoczne i nie mógł mieć całkowitej pewności.

Nieco bardziej pewien był swych uczuć do pary, która stała przy jego samochodzie i obserwowała go przy pracy. Chłopak nazywał się Vince, a dziewczyna Arlene. Był podobny do większości innych dzieciaków zamieszanych w fatalne wypadki, a jednak był jednocześnie inny. Tak więc, gdy świat się rozjaśnił, podjął swoje poszukiwania.

Znalazł więcej niż oczekiwał. Ciało było przesuwane, a młody człowiek wydeptane. Niemniej jednak znalazł dowód. Dowód oczywisty i bezsporny.

Wydołał się z nową i rzucił do młodego. Musiało być coś przerażającego w jego twarzy, bo chłopak nerwowo zapytał:

— O co chodzi sierżancie? — Kamień na dwie strony? — powiedział sierżant. — Gór na jest czysta, zmywana przez deszcz. Dolna zaś — brudna od styku z ziemią. Powiedz mi teraz, synku, w jaki sposób pan Santin mógł wyjechać z samochodu i uderzyć głową w dolną stronę?

Thumaczył Z. KOZŁOWICZ



Lewym okiem

KOMPOT NA WIDELCU

Był